A-TAK

ULICZNA GAZETA ANARCHISTÓW
NR 1 // DARMO // IX 2015



ANARCHIZM TO PORZĄDEK TAKI, GDZIE LUDZIE SĄ WOLNI JAK PTAKI!

Wstęp,
by nie powiedzieć, że Ustęp

Oddajemy w Wasze ręce pierwszy numer ulicznej, bezpłatnej gazety przygotowanej przez anarchistów z całej Polski. Znajdziecie tu teksty dotyczące zbliżających się wyborów parlamentarnych, imigrantów i punktu widzenia anarchistów na marzenia państwa o silnej armii. Jako że wydanie gazety zbiegło się z 21. urodzinami poznańskiego skłotu Rozbrat, nie zabraknie również artykułu na temat tego miejsca i niektórych inicjatyw organizowanych w jego ramach. Znajdziecie tu również zarys krytyki aktywizmu miejskiego i kilka słów prawdy o prawach pracowniczych i nacjonalizmie. Nie zapomnieliśmy też o kulturze – przygotowaliśmy dla was tekst o Jeanie Vigo, anarchiście i wybitnym reżyserze, który miał ogromny wpływ na rozwój kina. To wszystko i wiele więcej w pierwszym numerze pisma A-TAK.

Nazwa naszej gazety nie jest przypadkowa. Nawiązuje ona bowiem do anarchistycznego pisma, które ukazywało się w latach 1999–2004. Czujemy się ideowymi, a szczególnie praktykującymi, choć w zmieniającej się ciągle rzeczywistości, spadkobiercami i kontynuatorami tego ważnego pisma.

Nie jest to jednak jego wierna kontynuacja – zarówno forma wydania, jak i zawartość obydwu pism jest różna. Nie zrywamy jednak całkowicie z naszym poprzednikiem, znajdziecie więc tu sporo punktów wspólnych.

Poza tym uznaliśmy że nazwa A-TAK dla ulicznego pisma anarchistycznego jest adekwatna jak w pysk strzelił, właściwie bez zbędnego tłumaczenia mówi sama za siebie.

Jeśli chcielibyście zajrzeć do wcześniej ukazującego się pisma A-TAK, zapraszamy do archiwum anarchistycznego, które znajduje się na skłocie Rozbrat. Tymczasem zaczynamy przygotowanie kolejnego numeru, a Wam życzymy udanej lektury. Zachęcamy do współpracy i włączenia się w kolportaż gazety oraz do kierowania wszelkich uwag na maila: **atak@riseup.net**

Owocnej i inspirującej lektury
Do A-TAK-u!

Kolektyw redakcyjny

SOLIDARNI Z MIGRANTAMI!



UCHODŹCY MILE WIDZIANI!

Hasła „Solidarni z migrantami" i „Uchodźcy mile widziani" powinny witać wszystkich tych imigrantów, którzy, aby uniknąć wojny, prześladowań, skrajnej biedy oraz braku perspektyw, ryzykują często życie i zdrowie, by przekroczyć granice Twierdzy Europa.

Europa wciąż jest średniowieczną twierdzą, zamiast być miejscem przychylnym dla uchodźców. Wydajemy miliony euro na politykę uszczelniania granic, największe i najmocniejsze bariery tworzymy jednak we własnych głowach.

Lęk przed migrantami zbudowany na rasizmie, ksenofobii, a często zwykłej niewiedzy jest niestety nadal silny. Całkowicie zapominamy, że zaledwie 30 lat temu to Polacy byli uchodźcami politycznymi, a obecnie nadal migrują do bogatszych krajów Unii Europejskiej z powodów ekonomicznych. Dla nas jednak granice na razie są otwarte, ponieważ jesteśmy częścią europejskiej wspólnoty i cywilizacji. Zapytajmy: co się stanie, kiedy np. brytyjscy i niemieccy nacjonaliści uznają, że granica „ich cywilizacji" przebiega na Odrze i Nysie? Co się stanie, kiedy dwóm milionom Polaków każe się wracać do domu, ponieważ zabierają miejsca pracy i korzystają z pomocy socjalnej – ponieważ są obcymi, niemile widzianymi imigrantami?

Bardzo trudno przychodzi nam także przyjęcie do wiadomości, że kultura i cywilizacja europejska zbudowała swoją potęgę na wyzysku i ekonomicznej eksploatacji kolonii, która trwa do dziś. Jej ofiarą padły i padają miliony mieszkańców Południa, którzy obecnie przekraczają europejską granicę szukając schronienia i ekonomicznego bezpieczeństwa.

Migranci przypominają nam o rzeczywistości za murami – wojnach, prześladowaniach i skrajnej biedzie. Apelując do naszego europejskiego dziedzictwa: uniwersalnych praw człowieka i idei solidarności międzyludzkiej i proszą o azyl. To od naszej otwartości i gotowości do pomocy zależy teraz ich los.

Nie powinniśmy zapominać, że to migranci i uchodźcy od wieków również budują bogactwo kulturowe i ekonomiczne Europy. Wbrew opinii ślepych z nienawiści rasistów i nacjonalistów, uchodźcy nie przybywają z pustymi rękami i chcą dzięki swoim umiejętnościom, wiedzy czy po prostu chęci pracy odbudowywać własne życie w nowych ojczyznach. To od nas zależy czy stworzymy dla nich ku temu dogodne warunki.

Jeżeli w otwarciu się na migrantów i uchodźców widzimy więcej zagrożeń niż szans, swoją wrogą postawą dążymy jedynie do tego, co określa się „samospełniającym się proroctwem". Obawy i lęki mogą jedynie napędzać nasze najgorsze instynkty i prokurować etniczną czy rasową nienawiść. Jedynie zachowując otwartość, będziemy mogli, w sposób trwały i stabilny budować wspólną przyszłość. Jedynie zwalczając własne uprzedzenia, dostrzegając jak wiele łączy wszystkie narody i rasy, będziemy mogli żyć i pracować dla wspólnego dobra.

Na przekór więc wszelkim ksenofobicznym politykom, wspierającym ich mediom, internetowym hejterom i rasistom mówimy –

**SOLIDARNI Z MIGRANTAMI!
UCHODŹCY MILE WIDZIANI!**

W lipcu odbyła się w Poznaniu pikieta pod hasłami „Solidarni z migrantami! Uchodźcy mile widziani!" gromadząca przed CK Zamek blisko 200 osób z różnych środowisk i grup, m.in. Migrant Info Pointu, Stowarzyszenia Jeden Świat, Teatru Ósmego Dnia, Federacji Anarchistycznej, Rady Osiedla Jeżyce, jak i zwykłych poznaniaków. Pikietującym towarzyszyła grupa samby, nie mogło oczywiście zabraknąć transparentów z hasłami „Żaden Człowiek Nie Jest Nielegalny", „Uchodźcy serdecznie witamy" i „Precz z Europejską Fortecą".

Protest stanowił element kampanii solidarności z migrantami, a jego początkiem było wcześniejsze spotkanie w Centrum Amarant. Impulsem do działania były fala antyimigracyjnych wypowiedzi, która towarzyszyła decyzji o przyjęciu, zgodnie z zaleceniami Unii Europejskiej, dwutysięcznej grupy imigrantów. Zaledwie kilkaset metrów dalej, na pl. A. Mickiewicza, w tym samym czasie odbywał się kilkudziesięcioosobowy protest rasistów i ksenofobów skupionych w skrajnie prawicowych bojówkach. W trakcie naszej pikiety podkreślano konieczność solidaryzowania się z migrantami, którzy przybywają do Europy często z krajów ogarniętych wojną, takich jak np. Syria. Przypominano, jak często to mieszkańcy Polski w burzliwej historii naszego kraju sami musieli szukać schronienia i jak nadal emigrują choćby ze względu na trudną sytuację ekonomiczną. Zapewne pozytywnym zaskoczeniem był udział w pikiecie Prezydenta Poznania – Jacka Jaśkowiaka. Zadeklarował, że zależy mu na wielokulturowości miasta, podkreślił że będzie starał się zorganizować pomoc dla grupy syryjskich uchodźców, którzy niebawem przyjadą do naszego miasta. Doświadczenie uczy jednak, by podchodzić do takich deklaracji sceptycznie. W Poznaniu od dłuższego czasu przebywa grupa romskich uchodźców, którzy korzystali wielokrotnie ze wsparcia choćby Wielkopolskiego Stowarzyszenia Lokatorów. Na podobne wsparcie nie mogli liczyć ze strony zarówno władz miasta, jak i wojewódzkich. Jeśli więc Prezydent chce faktycznie pomóc uchodźcom, to powinien pamiętać, że grupa Romów nadal czeka na wsparcie. Protestujący podkreślali ponadto, że prawo do szukania schronienia i bezpieczeństwa nie powinno być ograniczane poprzez budowanie barier takich jak oczekiwanie od uchodźców wyznawania określonej religii.

Elementem pikiety był również happening w wykonaniu grupy aktorów Teatru Ósmego Dnia i Circus Ferus – odnoszący się do trudnego losu uchodźcy. Cała pikieta przebiegała w sposób pokojowy i spokojny, w przyjaznej atmosferze i wspaniałej pogodzie. Nieudane próby zakłócenia protestu spotkały się ze stanowczą odpowiedzią, rasiści chcący wmieszać się w grupę demonstrantów zostali z niej wypchnięci, a kiedy przemieszczali się przeciwną stroną ulicy, ich niemrawe okrzyki z łatwością zostały zagłuszone przez hasła antyrasistowskie.

W tym miejscu należy jeszcze raz gorąco podziękować wszystkim uczestniczkom i uczestnikom protestu. Pokazaliście, że rozumienie prawdziwe znaczenie słowa – solidarność. DZIĘKUJEMY!

Raz, dwa, trzy, próba mikrofonu. Sztafeta trwa dalej…

By nie było zbyt sentymentalnie i kombatancko, to warto napisać, iż cieszy fakt, że ktoś przejął pałeczkę w sztafecie i chce wydawać kolejne pismo pod nazwą „A-tak”.

Pismo redagowałem wspólnie z Rafałem Górskim i Łukaszem Bezprymem kilkanaście lat temu, w latach 1999-2004. Powstawało równocześnie w Krakowie i Słupsku. Nazwy „A-tak” nie wymyśliliśmy pierwsi; w 1989 r. dwa numery pisemka o takim tytule zostały wydane przez grupę Międzymiastówki Anarchistycznej z Koszalina. My tylko ten tytuł wykorzystaliśmy ponownie.

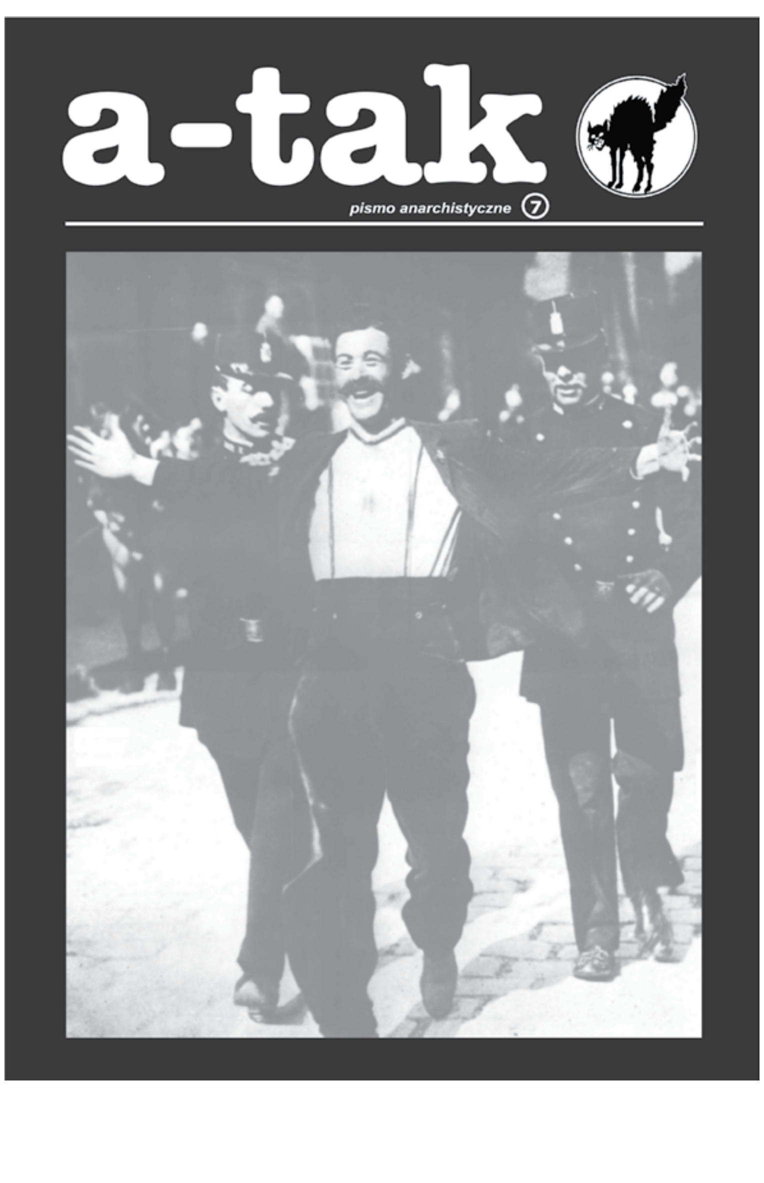
Gdy zaczynaliśmy wydawać pismo i mieliśmy złożony cały pierwszy numer, jedyną rzeczą, której nam brakowało, był właśnie tytuł. Do głowy nam przychodziły różne nazwy – lepsze, gorsze i nijakie. W akcie desperacji podzieliliśmy się naszymi dylematami z „Galem” – redaktorem Mać Pariadki, będącej wówczas najlepszym pismem anarchistycznym w kraju. „Gal” szybko znalazł rozwiązanie i z miejsca podsunął nam tytuł, stwierdzając: nazwijcie się „A-tak”. Dodał przy tym, że szkoda, aby dobra nazwa, która już kiedyś zaistniała, zmarnowała się. W ten sposób narodził się „A-tak” drugiej generacji.

W naszym piśmie od początku chcieliśmy poruszać tematy, których nie znajdowaliśmy w innych wydawnictwach anarchistycznych. Pewne tematy zainicjowaliśmy i chyba skutecznie udało nam się zaszczepić w świadomości ruchu anarchistycznego kwestie związane z ruchem pracowniczym, walką z gentryfikacją czy historią ruchu anarchistycznego.

Z wydawaniem pisma trafiliśmy jednak w nie najlepszy czas. Początek nowego wieku to okres, gdy następowała zmiana pokoleniowa w środowisku anarchistycznym. Sami zaczęliśmy zajmować się tematami, które wcześniej zasygnalizowaliśmy w „A-taku” i po prostu na wydawanie kolejnych numerów zabrakło nam czasu i energii – pismo zakończyło żywot na ósmym numerze. Z przymrużeniem oka mogę powiedzieć, że dopadła nas klątwa numeru ósmego. Nie tylko my zakończyliśmy wydawanie pisma na tym numerze, ale także takie pisma jak np. „Rewolta”, „Parada Krytyczna” i inne.

Pozostaje mi życzyć redakcji, by „A-tak” trzeciej generacji rozwinął skrzydła i wytrwale kontynuował to, czym wcześniej my się zajmowaliśmy i że pałeczka w sztafecie będzie niesiona dalej. Anarchiści do piór i klawiatur!

(Michał P.)



Uchodźcy ekonomiczni

Romowie stanowią grupę zajmującą najniższą pozycję w strukturze klasowej. Aktualnie obserwujemy największy po II wojnie światowej kryzys związany z uchodźcami. Coraz więcej ludzi będzie znajdowało się w podobnej sytuacji

Już od około 15-20 lat Polska boryka się z nierozwiązaną kwestią uchodźców ekonomicznych. Polityka samorządowa oparta na rasizmie wkrótce dotknie również tych, którzy w efekcie trwających konfliktów zbrojnych w innych częściach świata dotrą do Polski.

Romowie

Romowie pochodzenia rumuńskiego mieszkają na terenach wielu polskich miast. Codziennie żyją ze świadomością, że mogą stracić wszystko. Ich niski status ekonomiczny oraz brak praw socjalnych zmusza ich do tego, by potrzeby mieszkaniowe zaspokajać w dużej mierze poprzez budowanie koczowisk i zajmowanie pustostanów. Niskie położenie klasowe generujące społeczne i kulturowe stereotypy, zarówno w kraju pochodzenia jak i w Polsce, zmuszają uchodźców romskich nie tylko do zajmowania pustostanów, by zrealizować podstawową potrzebę, jaką jest potrzeba mieszkania, ale też do zajmowania terenów w określonych, specyficznych miejscach – ukrytych i niedostępnych. Ten brak fizycznej widoczności w przestrzeni miejskiej i świadomości społecznej stwarza Romom poczucie tymczasowego bezpieczeństwa poprzez ograniczenie częstotliwości ataków na tle rasistowskim, których przykłady mogą stanowić próby podpalenia koczowisk, nielegalne ewikcje, agresywne zachowania ze strony sąsiadów, ataki skrajnych grup prawicowych czy naloty policyjne.

Kilka miesięcy temu we wczesnych godzinach rannych na terenach koczowisk w Poznaniu i Wrocławiu policjanci przeprowadzili akcje, które polegały na zmuszaniu Romów do wyjścia przed domy. Odbyło się to prawdopodobnie w ramach współpracy polskiej policji i straży granicznej z agencją Frontex w projekcie mającym na celu identyfikowanie tzw. nieudokumentowanych imigrantów. Każdemu z osobna robiono zdjęcia, z numerami identyfikacyjnymi. Sami Romowie nie byli informowani o swoich prawach podczas przeprowadzania akcji, ani o jej celu.

Migracja Romów często nie jest wyborem, lecz koniecznością motywowaną głównie opresją ekonomiczną. Mimo że żadna rezolucja ONZ nie uwzględnia przyczyn ekonomicznych jako powód do uchodźstwa, sami Romowie określają siebie i swoją sytuację jako tego typu sytuację.

Deportacje i wysiedlenia

Romowie pochodzenia rumuńskiego stanowią największą i najdłużej mieszkającą w Polsce grupę ekonomicznych uchodźców. Jeszcze w latach 90. odbywały się masowe deportacje tej jednej z najbardziej prześladowanych mniejszości etnicznych w Polsce[1]. *Tekturowe domki nie mają szans / Buldożery czekają na rozkaz / Wystraszone dzieci zerwane ze snu / Za chwilę zniknie ich wioska* – tak śpiewał w 1996 roku zespół Dezerter. W czerwcu tamtego roku o godzinie 4 nad ranem znaczne siły warszawskiej policji i urzędnicy wtargnęli do osady rumuńskich Romów koczujących pod Mostem Grota Roweckiego. W wyniku tej akcji deportowano z Polski 129 imigrantów, z których około jedną trzecią stanowiły dzieci. W prasie opisującej wydarzenie przeważał ton sensacji i stereotypowego postrzegania mniejszości romskiej. *Ten slums nie może dłużej trwać / Sto osób tu*

1 Oficjalnie Romowie pochodzenia rumuńskiego nie są uznawani w Polsce za mniejszość. Powodem jest brak rejestracji pobytu na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. Zgodnie z założeniami UE, rejestracji powinna dokonać każda osoba przebywająca na terenie innego państwa wspólnoty, w okresie 3 miesięcy od daty wjazdu. Jednak przepisy warunkujące możliwość rejestracji, skonstruowane są w sposób, który z góry wyklucza możliwość wejścia w system obcokrajowców nisko uposażonych ekonomicznie. Kryteria, które warunkują dostęp do rejestracji: posiadanie odpowiedniej ilości środków finansowych (poprzez to udowodnienie, iż nie będzie się biorcą pomocy społecznej); zaświadczenie o pracy lub promesa pracy; studia; akt małżeństwa. Spełnienie choć jednego z ww kryterów umożliwia rejestrację.

„Frontex zabija”

Dopóty, dopóki wolność przemieszczania się nie będzie dostępna dla każdej osoby, nie ustaną ataki i akcje mające na celu obnażyć i zaniechać realnej działalności tej unijnej agencji – zabijania ludzi spoza UE w imię tworzenia coraz szczelniej „chronionej” Fortecy

FRONTEX (połączenie francuskich słów *frontières extérieures* – granice zewnętrzne) to Europejska Agencja Zarządzania Współpracą Operacyjną na Zewnętrznych Granicach Państw Członkowskich Unii Europejskiej, powołana w 2004 r. i od tego czasu systematycznie rosnąca w siłę. Podlega Radzie Ministrów ds. Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych, sam Parlament Europejski ogranicza się do zatwierdzania jej budżetu. Jest to jedyna unijna agencja, która mieści się w Polsce, w centrum Warszawy, gdzie powstała w maju 2005 r. Dysponując systematycznie zwiększającym się budżetem i kompetencjami jest odpowiedzialna za kontrolę, nadzór i koordynację granic Unii Europejskiej. Wszystko to, by móc skuteczniej „walczyć z nielegalnym handlem ludźmi”.

Rzeczywistość jednak dalece odbiega od oficjalnej retoryki, wręcz jej zaprzeczając. Swoją działalnością agencja ta wyświadcza wielką przysługę osobom czerpiącym profity z pomocy w „nielegalnym” przekraczaniu granic. Nie zmniejsza ona determinacji osób pragnących dostać się do Europy, nie eliminuje też przyczyn, dla których ludzie decydują się na to. Sprawia natomiast, że ich podróż jest dłuższa i bardziej niebezpieczna. Statystyki organizacji takich jak Fortress Europe mówią o tym, iż już w dwa lata po utworzeniu agencji spadła liczba osób, którym udało się dotrzeć do Sycylii, przy jednoczesnym wzroście liczby utoniętych na morzu.

W tym roku w całej Europie odbyły się akcje rozwieszania list z nazwiskami osób, które straciły życie, próbując przedostać się do Fortecy Europa. Lista ta obejmuje 17 306 pozycji (dostępna tu: http://www.unitedagainstracism.org/pdfs/listofdeaths.pdf). Coraz częściej słychać wprost: „Frontex zabija”.

Największą strefą działalności FRONTEXU jest południe Europy i północ Afryki. W wyniku jego działań pojawiło się tam więcej radarów, helikopterów i łodzi wyszukujących imigrantów. Organizowane są szkolenia dla straży granicznych, podczas których można m.in. wymienić się doświadczeniem dotyczącym skutecznego rozpoznawania „nielegalnych” imigrantów. FRONTEX przeprowadza badania i analizuje informacje, które przekazuje poszczególnym oddziałom straży granicznej i na podstawie których wyznacza punkty zapalne, koordynuje i finansuje operacje antyimigranckie. Co za tym idzie – tworzy obozy na południu Afryki, gdzie przetrzymuje się osoby pragnące przedostać się przez granicę. Daje wytyczne, by strzelać do uchodźców przeprawiających się przez pola minowe w Turcji (niemieccy strażnicy odmówili wykonania tych rozkazów, o czym informowały niemieckie gazety). Chce też profilaktycznie niszczyć libijskie łodzie, tak by nie mogły służyć do przeprawiania się przez morze. Poza tym przeprowadza akcje zintensyfikowanej kontroli portów lotniczych i stacji kolejowych mające na celu „wyłapanie” w krótkim czasie możliwie jak największej liczby imigrantów. Wdraża projekty zdalnego systemu kontroli i robotyki na granicach, czyli, przy współpracy m.in. z Politechniką Warszawską, tworzy drony patrolujące granice. Zmienia funkcjonowanie włoskich patroli morskich – minimalizując ich zasięg i zakazując interwencji mających ratować tonące łodzie.

FRONTEX unika medialnego rozgłosu. Zdarzyło się jednak, iż dwa lata temu zorganizował w Warszawie festiwal Borderview. Patronat nad nim objęła straż graniczna, pokazywano filmy, a wstęp był bezpłatny. W rezul-

żyje nielegalnie / Nie obchodzi nikogo, że to jest ich dom / Bo to tylko rumuńscy Cyganie. Pomimo głosów oburzenia władze nie zmieniły swojego stanowiska.

Dziś, po wejściu Polski w struktury UE, metody działania władz pozostały takie same. Dokonywane są brutalne wysiedlenia – tylko w ostatnich dwóch latach zrównano z ziemią trzy koczowiska – w Gdańsku, Krakowie i Wrocławiu. Wszystkie wyburzenia odbyły się bez wcześniejszego powiadomienia mieszkańców.

Solidarność, o godne życie uchodźców

Jednocześnie temat obecności Romów rumuńskich w Polsce jest podejmowany tylko w momentach konfliktowych, np. w kontekście praw własności do terenów zamieszkiwanych przez Romów (koczowiska, stanowiące małe domki budowane z odpadów, zlokalizowane są na terenach należących do gmin lub właścicieli prywatnych). Brak jest analizy przyczyn złej sytuacji ekonomicznej Romów, dyskusji na temat respektowania ich praw przez władze samorządowe w Polsce. Debata publiczna skupiona jest wokół konieczności respektowania polskiego prawa przez nich samych. Tu przykłady mogą stanowić sytuacje z Poznania, Wrocławia czy Gdańska. Tam, gdzie grupy lokalnych aktywistów i aktywistek współpracują ze społecznością romską, budując wspólnotę walki w obronie ich praw, rzadziej dochodzi do nagłych wysiedleń, ich skutki są minimalizowane, a fakt co najmniej nagłaśniany medialnie. Natomiast, co widać na przykładzie Krakowa, w miastach, w których lokalne grupy nie prowadzą współpracy z uchodźcami, dochodzi do nielegalnych, „cichych" wysiedleń. Wysiedlenia te zazwyczaj odbywają się bez żadnej zapowiedzi – przy użyciu buldożerów, w asyście policji i właścicieli terenu dokonuje się dosłownie „usunięcia" domów migrantów.

Romowie stanowią grupę zajmującą najniższą pozycję w strukturze klasowej. Aktualnie obserwujemy największy po II wojnie światowej kryzys związany z uchodźcami. Coraz więcej ludzi będzie znajdowało się w podobnej sytuacji. By uchodźcy, niezależnie od statusu ekonomicznego czy wyznawanej religii oraz pochodzenia, mogli korzystać w podstawowych praw socjalnych, konieczne jest, by poprzez wspólne działania podjąć sprzeciw wobec polityki segregacji ekonomicznej. Następnymi jej ofiarami będą uciekający przed konfliktem zbrojnym Syryjczycy. Sytuacja Romów ilustruje, że nic nie wskazuje na to, by status ubogich cudzoziemców w Polsce polepszył się. Jedyne struktury, które są obecnie dostępne dla uchodźców spoza UE na terenie Polski to obozy detencyjne, które funkcjonują jak więzienia. W toczącej się debacie publicznej, nadal nie ma dyskusji o programach mających na celu umożliwienie uchodźcom korzystania z podstawowych praw w Polsce.

(Wielkopolskie Stowarzyszenie Lokatorów)

www.wsl-poznan.pl



tacie reżyser jednego z wyświetlanych obrazów wyraził swój ostry sprzeciw wobec projekcji swojego filmu, a przed kinem zorganizowano protesty. Mimo że co roku coraz więcej funduszy przeznaczanych jest na PR, był to dotychczas ostatni raz, kiedy agencja zdecydowała się zorganizować taki festiwal.

Protest ten nie był jedynym, jaki miał miejsce w Warszawie ze względu na mieszczącą się tam siedzibę FRONTEXU. Od paru lat, w okolicach maja, organizowane są Dni Antyfrontexowe. W tym roku, 21 maja, przypadała 10. rocznica utworzenia tej agencji w stolicy Polski. Z tej okazji zjechały się do nas dziesiątki osób, by razem wyrazić swój sprzeciw wobec prowadzonej przez Europę polityki. Zorganizowano spotkanie mające na celu wymianę doświadczeń i umożliwiające sieciowanie się osób i grup zainteresowanych tematem, oraz demonstrację, która przeszła przez samo centrum Warszawy. Co jakiś czas odbywają się też i większe akcje wymierzone we FRONTEX. Dopóty, dopóki wolność przemieszczania się nie będzie dostępna dla każdej osoby, nie ustaną ataki i akcje mające na celu obnażyć i zaniechać realnej działalności tej unijnej agencji – zabijania ludzi spoza UE w imię tworzenia coraz szczelniej „chronionej" Fortecy.

Zapraszamy do współpracy każdą zainteresowaną osobę.

migracja.noblogs.org

antyfrontex@riseup.net

Kukiz się zbliża?

Polityczne motywacje „antysystemowej" prawicy

Prąca do władzy prawica skutecznie wykorzystuje nacjonalistyczne i antylewicowe hasła dla podtrzymania ideologicznej hegemonii postsolidarnościowych elit

Polska prawica przedstawia się jako siła antysystemowa, walcząca o prawa i dobrobyt wszystkich obywateli. Tymczasem jej głównym problemem jest utrzymanie ideologicznej dominacji. Tworzący ją ludzie od lat uczestniczą w elitach władzy, zajmują parlamentarne stołki, okupują intratne urzędy. Nawet prawicowy kontestator i jednocześnie celebryta, Paweł Kukiz, nie stanowi tu wyjątku. Najpierw czarował zbuntowaną młodzież, wyśpiewując kawałki skierowane przeciwko katolickim ugrupowaniom („ZChN zbliża się" – 1992 r.), potem kolaborował z Platformą Obywatelską, a teraz kokietuje nacjonalistyczno-religijną retoryką stetryczałe towarzystwo, dla których czas zatrzymał się gdzieś 35 lat temu.

Prąca do władzy prawica skutecznie wykorzystuje nacjonalistyczne i antylewicowe hasła dla podtrzymania ideologicznej hegemonii postsolidarnościowych elit. Dobrym przykładem ilustrującym tego typu mechanizmy jest Kornel Morawiecki – kandydat do parlamentu z ramienia ugrupowania Kukiza. Morawiecki jest z zawodu wykładowcą akademickim i doktorem fizyki. W czasach stanu wojennego był przywódcą radykalnej Solidarności Walczącej. Jego syn, Mateusz Morawiecki, były działacz NZS z lat 80., to obecnie prezes Banku Zachodniego WBK, należącego z kolei do największego banku w Hiszpanii – Santander. Bank prowadzi też własną fundację, która za rządów młodego Morawieckiego zmieniła swój profil. „Przez szereg lat – jak możemy przeczytać na stronie Fundacji Banku Zachodniego WBK – głównymi odbiorcami pomocy były dzieci z ubogich rodzin. Do nich skierowany był największy program grantowy Fundacji: Bank Dziecięcych Uśmiechów." Potem Morawiecki zmienił zdanie i działania fundacji skierowane zostały przede wszystkim do młodzieży. Faktycznie instytucja ta finansuje szereg nacjonalistycznych projektów zgodnych z poglądami politycznymi obu Morawieckich.

Co ciekawe to BZ WBK, poprzez podstawioną spółkę, jako główny wierzyciel poprzedniego właściciela (który gdzieś się ulotnił) przejął kontrolę nad prawami własnościowymi do poznańskiego skłotu Od:zysk. Tego samego, który próbowała podpalić na początku czerwca br. nacjonalistyczna młodzież, wykorzystując kibicowską fetę Lecha Poznań z okazji zdobycia mistrzostwa Polski. Być może za łomy i pochodnie chwycili beneficjenci dotacji pochodzącej z Fundacji BZ WBK. Tego nie wiem. W konsekwencji jednak, gdyby atak zakończył się sukcesem, byłoby to na rękę bankowi. Jednak nacjonaliści nie zdołali wtargnąć do środka i skończyło się na kilku wybitych szybach. Jaki kraj, taka kryształowa noc – chciałoby się powiedzieć.

W otoczeniu Kukiza znalazło się wiele tego typu postaci. Można oczywiście zapytać, co ich motywuje? Postsolidarnościowe elity władzy nie przyjmują do wiadomości, że to one są odpowiedzialne za dzisiejszą sytuację społeczną i ekonomiczną w naszym kraju. To ludzie Solidarności, ci „wielcy patrioci" doprowadzili do tego, z czym mamy obecnie do czynienia: z niesprawiedliwością, z nierównościami społecznymi, niedowładem w opiece zdrowia czy opiece społecznej itd. Musimy to sobie wreszcie wyraźnie i głośno powiedzieć. To ludzie Solidarności uzależnili nas od międzynarodowego kapitału, zepchnęli całe grupy społeczne na skraj ubóstwa, chronicznego bezrobocia i ciągłego zagrożenia eksmisjami, sprzedali prawa pracownicze i niejedną fabrykę. A to, że chcieli dobrze? Podobnie było z reżimem komunistycznym – oni też chcieli dobrze.

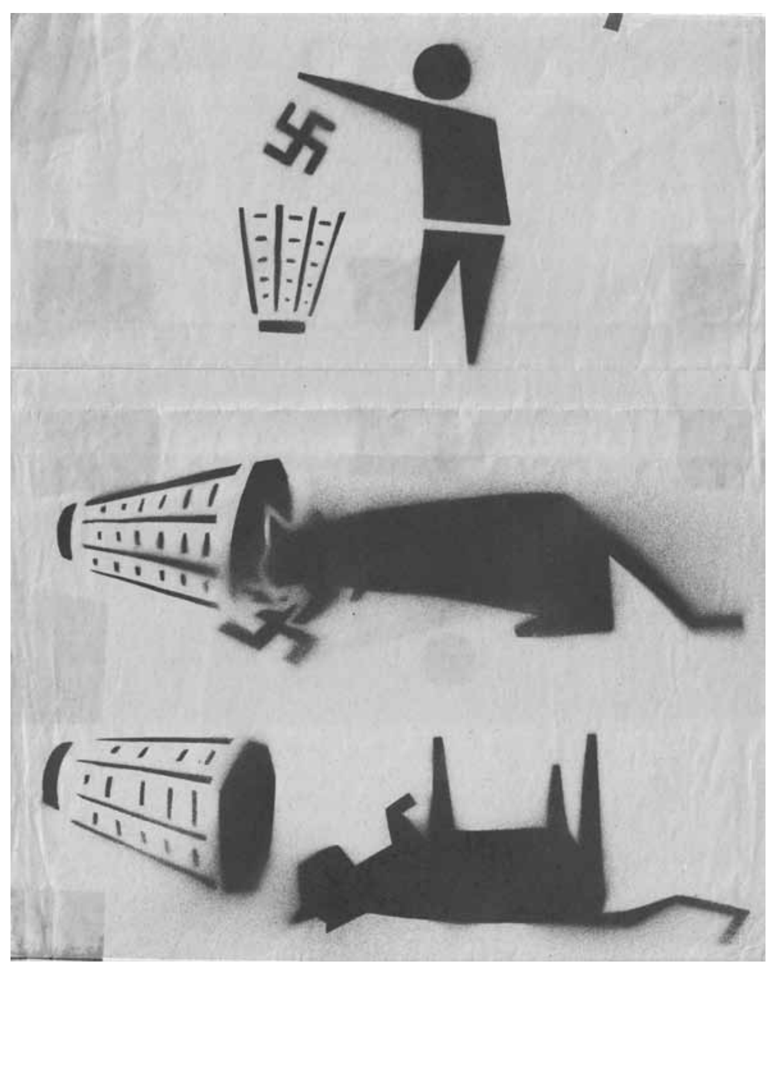
Ponieważ ludzie Solidarności, stojąc dzisiaj przed moralną, ale też – prędzej czy później – polityczną porażką, odwołują się do najbardziej nacjonalistycznych haseł. Kiedy cała dotychczasowa konstrukcja Unii Europejskiej wali się, a na jej granice napierają imigranci, kiedy wszystkie kraje wstrząsane są socjalnymi konfliktami, kiedy „zburzenie Berlińskiego Muru", „kolorowe rewolucje", kolejne „wiosenki narodów" okazały się mistyfikacją i neoliberalnym przekrętem, solidarnościowym elitom nie pozostaje nic innego jak uderzyć w nacjonalistyczne, ksenofobiczne i konserwatywne komunały. Im bardziej ich klęska jest widoczna, tym ich nawoływanie gorętsze. Polscy patrioci to zombi wierzący, że kiedy ukąszą nas swoją pogrzebową mową, zmienimy się w podobne im trupy.

Moralna degrengolada spowodowała, że ludzie solidarności zaczęli się niszczyć między sobą, prześcigać, kto z nich większym jest patriotą, kto gorliwiej wierzy w Cud nad Wisłą, w sens Powstania Warszawskiego i niewinność Żołnierzy Wyklętych. Zaczęli samych siebie i innych nazywać „lewactwem", „pedalstwem", czy po prostu „robactwem". Rozpychają się łokciami na cmentarzach i w kościołach, przy pomnikach stawianych na cześć ich idoli. Na naszych ulicach powrócił koszmar z wiersza Słowackiego (być może poeta patriotów poruszy):

Szli krzycząc: „Polska! Polska!" – wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej krzycząc: „Boże! ojczyzna! ojczyzna!".
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Ale, kurwa, jaka?"

Morawieckim i Kukizom żyje się dobrze. Prawica w istocie nie chce zmian. Prawica chce władzy.

(Stanisław Krastowicz)



BEZROBOCIE? NISKIE PŁACE? SŁABY SEX?! – „NACJONALIZM" TOBIE NIE POMOŻE!

Pracownicy na świecie wiedzą wystarczająco dużo na temat rolnictwa, włókiennictwa, budownictwa, opieki nad innymi – nie potrzebujemy pośredników, szefów, polityków i biskupów, którzy zarabiają na nas i którzy raczej popchną świat w kolejną wojnę światową niż przyznają, że ich system nie ma przyszłości.

Społeczeństwo, w którym liczą się tylko „zyski", a nierówności pomiędzy biednymi i bogatymi wciąż rosną, trawi konflikt. Od 2008 r. przeżywamy światowy kryzys. Po tym, jak uratowano banki, równocześnie wprowadzając cięcia wydatków publicznych, mamy do czynienia ze wzrostem bezrobocia. Coraz więcej osób jest zmuszonych do migracji w poszukiwaniu zatrudnienia, a także do konkurowania o coraz mniejszą ilość miejsc pracy. Na granicach coraz częściej dochodzi do brutalnych starć między masami ludzi próbujących przekroczyć granice „rozwiniętych" państw a wojskiem i policją. Jednocześnie na całym świecie wybuchają protesty przeciwko cięciom zabezpieczeń socjalnych, „skorumpowanym rządom", obniżaniu płac i pogarszaniu warunków pracy. Rządzący próbują wdrażać cięcia, lecz równocześnie muszą uporać się z naszym niezadowoleniem i gniewem. Nie przypadkiem w tym samym czasie jesteśmy świadkami nawoływania do nacjonalizmu. Politycy wielu krajów za pogłębiającą się biedę obwiniają „imigrantów", równocześnie twierdząc, że zamierzają jeszcze mocniej żyłować „swoich miejscowych robotników" (np. poprzez wydłużenie wieku emerytalnego, likwidację 8-godzinnego dnia pracy). W pewnych krajach, jak na Ukrainie, nowy nacjonalizm doprowadził do wojny. Nacjonalizm występuje również w naszych zakładach pracy, na ulicach, w mediach czy innych miejscach. Firmy wykorzystują podziały narodowe i stereotypy, abyśmy konkurowali przeciwko sobie: Polacy przeciwko imigrantom, „patrioci" przeciwko „komuchom", mężczyźni przeciwko kobietom, pracownicy biurowi przeciwko pracownikom fizycznym. Dzięki temu ostatecznie bogaci osiągają zyski dla siebie, a my jako pracownicy tracimy. Dlatego musimy się skupić na tym, kto jest naszym prawdziwym wrogiem...

Miejsca pracy? Po co ich bronić?

Pracownicy, czyli my, odwołują się do narodu (państwa) między innymi po to, aby „bronić swoich miejsc pracy". Musimy jednak zapytać, skąd się biorą „miejsca pracy" i „ograniczona ilość miejsc pracy". „Miejsca pracy" tworzą ci, którzy mają pieniądze i inne zasoby, kiedy mogą dzięki nim zarobić jeszcze więcej pieniędzy. To oni i ich rynek określają, jakie rodzaje pracy wykonujemy. Większość z nich służy temu, żeby bogaci zwiększali swoje zyski. Jeśli każdy z nas mógłby pracować tylko po to, aby wytwarzać rzeczy, które są nam niezbędne do życia (domy, ubrania, pożywienie), a nie po to, by bogaci byli jeszcze bogatsi, wówczas praca mogłaby zostać podzielona po równo. Jeśli nie trzeba by sprzedawać naszego czasu i energii w zamian za pieniądze, to wysokie „bezrobocie" byłoby w rzeczywistości pożądane. Dlaczego? Ponieważ to by oznaczało, że aby zrealizować nasze potrzeby wystarczy niewiele pracujących osób. Każdy mógłby krócej pracować i mielibyśmy więcej czasu na inne rzeczy, które mogą nas uszczęśliwić. W przeciwieństwie do tego gonimy za pracą i konkurujemy o nią, ponieważ potrzebujemy pieniędzy, a kapitaliści tworzą miejsca pracy tylko wtedy, kiedy mogą na nas zarobić. Nie chcemy ich miejsc pracy, nie chcemy ich bezrobocia. Chcemy żyć, a nie pracować.

Obecny system za pomocą maszyn i wzrostu wydajności tworzy bezrobocie i zwiększa konkurencję o miejsca pracy

Niestety żyjemy w świecie, gdzie nie można obyć się bez pieniędzy, bezrobocia i idiotycznych rodzajów pracy. Mimo że pracownicy wytwarzają całe bogactwo ekonomiczne, nie mają z tego niczego. Bezrobocie wynika stąd, że jeśli tylko szefowie są w stanie zwiększyć wydajność, np. za pomocą nowych maszyn, to redukują zatrudnienie, aby zwiększyć zyski. W takich warunkach technologia, która może ułatwić pracę i życie, powoduje większą nędzę. Musimy konkurować z maszynami, które sami wytworzyliśmy dla szefów i ostatecznie przegrywamy – pracownicy tracą miejsca pracy, wzrasta konkurencja, a wraz z tym obniżają się płace. Szefostwo szachuje nas groźbą bezrobocia, abyśmy byli posłuszni i aby nas podzielić. Do tego nie potrzeba żadnych „imigrantów" – w ten sposób działa ten system ekonomiczny. Przekształcenie poszczególnych państw czy Unii Europejskiej w zamkniętą twierdzę nie pomoże. W Polsce bezrobocie jest wyższe niż w krajach, w których migrantów jest znacznie więcej, a osoby urodzone w Polsce częściej same wyjeżdżają za pracą na Zachód niż spotykają obcokrajowców pracujących w Polsce.

Większość pracowników jest imigrantami (w swoich „własnych" krajach), czy tego chcą czy nie

Pracownicy nie są w stanie trzymać się swoich korzeni. Musimy brać pracę tam, gdzie ją znajdziemy, w innym razie nie przeżyjemy. Kiedy w latach 90. w Polsce zamykano i prywatyzowano przemysł, ponieważ nie można było na nim zbijać wystarczających kokosów, ludzie, aby znaleźć pracę, musieli przenosić się do innych miast bądź klepali biedę w swoich rodzinnych stronach. W latach 90. tysiące pracowników z Polski przeniosło się do Niemiec, gdzie lepiej płacono. To nie nasza wina, że w latach 90. w Polsce bezrobocie wynosiło 20-30 % i trzeba było wyjechać, aby znaleźć pracę. To nie my zaczęliśmy wojnę w Syrii, Somalii, na Ukrainie i nie chcemy walczyć dla tego czy innego podżegacza wojennego. Jeżeli wybucha wojna, ludzie pracy muszą szukać lepszego miejsca do życia i stają się uchodźcami wojennymi. Wszyscy w pewnym stopniu jesteśmy imigrantami. Dopóki będziemy jedynie masą oddzielonych od siebie jednostek, ci u władzy będą próbowali wzmagać konkurencję między nami.

Państwa pomagają szefom w organizowaniu globalnego rynku pracy i wzmaganiu konkurencji pomiędzy pracownikami

Państwa dbają o to, aby pracownicy i bezrobotni konkurowali pomiędzy sobą, a nie zwracali się przeciwko kapitalistom. Osiągają to w różny sposób w zależności od spadków i wzrostów na rynku. Państwa wdrażają niższe płace minimalne czy bezpłatne praktyki dla uczniów. Używając propagandy o tym, że bezrobotni są „roszczeniowi", zmusza się ich do tego, by „pracowali na świadczenia społeczne, z których korzystają" i każdego dnia zginali kark. Kiedy potrzeba pracowników, wówczas państwo zmusza kobiety do wejścia na rynek pracy, jeśli nie są potrzebne, to oczekuje się, że „zostaną w domu i będą dobrymi matkami". Jeśli potrzeba dodatkowej taniej pracy przykładowo Unia Europejska ukazuje swoją „wielonarodową" twarz i otwiera się na pracowników z innych państw. Równocześnie poddaje ich dodatkowym naciskom, ograniczając dostęp do świadczeń czy atakując „nielegalnych imigrantów", zmuszając ich do zgody na niskie płace i do pokory. W ten sposób powstają hierarchie pomiędzy różnymi grupami pracowników, co w ostateczności wzmaga presję na wszystkich.

Wyrwijmy się z ograniczeń nacjonalizmu

Coraz większe trudności związane z przetrwaniem, powrót do strategii „dziel i rządź", (np. propaganda przeciwko ludziom ze wschodniej Europy czy muzułmanom) skłania nas do zamykania się również w ramach własnych narodów. Naród niby ułatwia nam przetrwanie. Będąc Polakiem w Polsce łatwiej znaleźć mieszkanie czy pracę. Równocześnie lepiej usytuowanym osobom – elicie narodu – wiedzie się całkiem nieźle, gdyż zarabiają kosztem swoich rodaków, np. ściągając prowizję, kiedy są pośrednikami (agencje pracy, agencje wynajmu mieszkań), uzyskując głosy, które umożliwiają im zdobycie stołka (politycy), czy wyzyskując naszą tanią pracę (drobni i duzi polscy przedsiębiorcy). Biznesmeni, politycy i biskupi uwielbiają przypominać nam, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, są „patriotami", ponieważ to dzięki temu ich biznes się kręci. Dla nas, w dłuższej perspektywie, naród przeradza się w getto bez możliwości poprawy warunków życia. Strach przed odejściem z niego i niechęć wobec robotników z innych krajów ostatecznie powodują, że jesteśmy wyzyskiwani przez swoich „ziomków" w imię boga, honoru i ojczyzny.

Jeśli bardziej zawierzymy narodowym/religijnym pośrednikom i politykom niż pracownikom z innych krajów, to skończy się wojną

Nacjonalizm jest oznaką strachu! „Biedni z różnych miejsc mówiący różnymi językami nie są w stanie się zjednoczyć. Szef jest silny. Lepiej się trzymać tych, którzy dzierżą władzę, mówią tym samym językiem i obiecują nam złote góry". Rozumiemy ten strach, lecz obawiamy się tego, co się dzieje, jeżeli pracownicy walczą przeciwko sobie a nie przeciwko zasadniczym powodom ich biedy – wyzyskowi stosowanemu przez szefów i państwo. Widzimy, co się dzieje na Ukrainie. Na wschodzie kraju pracownicy w zagłębiach górniczych boją się, że jeżeli Ukraina wstąpi do Unii Europejskiej, to stracą pracę. To dlatego część z nich wspiera separatystów, którzy bredzą o rosyjskiej tożsamości i są wspierani przez rosyjski reżim. Na zachodzie kraju pracownicy z lepszym wykształceniem liczą na to, że jeśli Ukraina dołączy do UE, to dostaną lepszą pracę. Dlatego część z nich wspiera ukraińskich nacjonalistów, którzy chrzanią o ukraińskiej tożsamości i są wspierani przez USA i reżim UE. Pomimo że większość pracowników nie angażuje się w ten konflikt, to setki z nich już zginęło, a wzrost wydatków na zbrojenia oznacza szybki wzrost ubóstwa populacji i zarazem niezły interes dla krajowego i zagranicznego biznesu. Same reżimy Rosji i Unii Europejskiej są w kryzysie, wzrasta bowiem niezadowolenie wśród ich ludności. Mogą one wykorzystać konflikt na Ukrainie, aby przekierować uwagę ludzi na zewnętrznego wroga. Historycznie rzecz biorąc, globalny kryzys i wojna światowa występują w tym samym czasie.

Pracownicy wszystkich krajów łączcie się?

Stoimy wobec sytuacji, kiedy pracownicy na całym świecie muszą walczyć w coraz bardziej zbliżonych realiach, przedsiębiorstwa i branże są globalne, pracownicy przemieszczają się i uczą różnych metod oporu. Jeśli przyjrzymy się historii wygranych walk pracowniczych to zobaczymy, że ci, którzy potrafią przełamać ograniczenia narodowe, są znacznie silniejsi. Pracownicy na świecie wiedzą wystarczająco dużo na temat rolnictwa, włókiennictwa, budownictwa, opieki nad innymi – nie potrzebujemy pośredników, szefów, polityków i biskupów, którzy zarabiają na nas i którzy raczej popchną świat w kolejną wojnę światową niż przyznają, że ich system nie ma przyszłości. (K+M)

„Dzień dobry sąsiedzie”– czyli wstęp do refleksji nad aktywizmem miejskim

Pod płaszczykiem chęci wprowadzania zmian w życiu miasta czy danej dzielnicy działacze miejscy legitymizują zastany porządek, dławiąc przy tym wszelkie próby „radykalnego zwrotu akcji” w życiu codziennym

„Nie jesteśmy niepożądanymi obywatelami, my w ogóle nie jesteśmy obywatelami. Jesteśmy zbuntowanymi niewolnikami… Dlatego nie jesteśmy szanowani. Przyznajemy to i jesteśmy z tego dumni”

The Wobblies
(amerykański związek zawodowy)

Liberalizm dominuje nie tylko w sferze ekonomii – zgodnie z jego regułami kształtowane są również stosunki polityczne i społeczne. W te, z góry narzucone, zasady gry znakomicie wpisują się tzw. ruchy miejskie, które tylko pozornie aktywizują mieszkańców i pomagają im w zyskiwaniu wpływu na bieg wydarzeń oraz decyzje podejmowane w ich mieście. Władza z łatwością bowiem pozyskuje dla swoich celów „niezależne” ruchy miejskie, których uczestnicy często cechują się brakiem wyobraźni i pogłębionej refleksji oraz daleko posuniętym konformizmem. Ruchy te najczęściej służą po prostu budowaniu warunków do zabłyśnięcia wybranym działaczom i wspieraniu ich karier politycznych. Nawet jeśli oficjalnie nie mają takich założeń, szybko stają się przechowalnią dla przyszłych radnych i narzędziem sprawnie działającym na rzecz fasadowej, a nie realnej zmiany. Zazwyczaj im bardziej widoczny (w oficjalnym słowniku zaangażowany) działacz, tym lepszy skutek odnoszą jego starania o etat w Urzędzie Miasta. Niestety aktywiści miejscy są często postrzegani jako alternatywa czy „swojska kontra” dla elit rządzących miastem. Tym chętniej więc oddaje się na nich głos jako na „powiew świeżości”, „nowe twarze”, „ludzi od nas” etc. Jednak do miana aktywistów społecznych, którym sen z powiek spędza psia kupa na trawniku czy „nielegalny” plakat na skrzynce energetycznej, aspirują głównie osoby, których status społeczny pozwala poświęcać czas tego typu zagadnieniom, i dla których palące problemy społeczne jak miejska polityka mieszkaniowa, niskie płace etc. są mało interesujące, bo nie dotyczą ani ich samych, ani środowiska z którego się wywodzą i które w przyszłości odda na nich głos. Osoby, dla których tego typu problemy są czystą abstrakcją, chętniej poprą przecież tego, kto w „czynie społecznym” zadzwoni na straż miejską, widząc starszego jegomościa oklejającego słupy ogłoszeniami o sprzedaży tytoniu lub razem z nimi skrzyknie się na facebooku, by w ten sam sposób uciszyć przekrzykujących się pod sklepem penerów. Zadowoleni drobnomieszczanie z ulgą podarują swojego „lajka” i krzyżyk na wyborczej karcie aktywistom godnie reprezentującym ich własną mentalność.

„Patologia” nieprzykładająca zbyt dużej wagi do walki z kupą i plakatem najczęściej nie bierze udziału w tym plebiscycie gwiazd aktywizmu – w końcu to nigdy nie będą odpowiedni delegaci dla ich spraw i codziennych walk. Będą za to częścią elit i władzą, która – wspomagana przez kolejnych aktywistów miejskich – utopi ich w rozszerzającym się wciąż gąszczu kontroli i przepisów, w pojęciu „legalności” lub jej braku, będącym orężem w walce z tymi, którzy odważą się zakwestionować zastany porządek rzeczy. „Patologia” płaci mandaty za swe liczne przewiny i daje zajęcie straży miejskiej – w rzeczywistości jednak bardziej spłaca rachunek za obsesję kontroli generowaną przez władzę oraz „misję społeczną” aktywistów miejskich, niż za rozklejanie plakatów czy zagłuszanie ciszy nocnej.

Ruchy miejskie najczęściej więc tak naprawdę wspierają posunięcia władz i tworzą swoistą osłonę dla ich działań i interesów. W jaki sposób? Faworyzują one – o czym była mowa powyżej – wybrane jednostki i grupy społeczne (wywodzące się z ich własnego środowiska), pomijając w swych dążeniach, a nawet pogłębiając wykluczenie, ludzi o mniejszych wpływach i zasobach. Poza tym, skupieni wokół nich aktywiści potrafią odciągnąć uwagę opinii publicznej od istotnych problemów społecznych, przekierowując ją umiejętnie na mało istotne zagadnienia, których podjęcie tworzy złudzenie działania na rzecz zmiany. Choćbyśmy mieli idealnie równe chodniki, czyste trawniki, zawsze dobrze zaparkowane samochody i wolne od plakatów słupy, ludzie i tak pozostaną niewolnikami władzy i kapitału, wykluczoną masą, która traci dach nad głową, pada ofiarą nieuczciwych pracodawców i nawet nie marzy o tym, by mieć realny wpływ nie tylko na sprawy o charakterze społeczno-politycznym, ale nawet na własne życie.

Ściśle wiąże się to z próbami uciszenia czy nawet zdyskredytowania zwolenników radykalnych zmian, który występują przeciwko aktualnie rządzącym lub przeciwko władzy jako takiej (jak na przykład anarchiści), proponując zupełnie inne spojrzenie na zaistniałą sytuację i zupełnie inne rozwiązania oraz metody walki. Pod płaszczykiem chęci wprowadzania zmian w życiu miasta czy danej dzielnicy działacze miejscy legitymizują więc zastany porządek, dławiąc przy tym wszelkie próby „radykalnego zwrotu akcji” w życiu codziennym mieszkańców i ich wpływie na decyzje ratusza. Pomagają w utrzymaniu istniejących stosunków władzy i dominacji uprzywilejowanych grup społecznych nad tymi, których oficjalnie nazywa się niezaradnymi życiowo, a przy rodzinnym stole i w komentarzach na facebooku już wprost i bez ogródek: menelami, patologią, brudasami, nierobami etc.

Ostatnio niezwykle nośnym medialnie i aktywistycznie tematem jest m.in. pełna poświęceń walka z wiatrakami czyli plakatami, które nieustannie pojawiają się w miejskiej przestrzeni. Walka ta dotyczy zarówno plakatów komercyjnych, jak i drobnych ogłoszeń typu „zaginął piesek” oraz plakatów o treści społecznej, których rozpowszechnianiem trudnią się m.in. anarchiści. Ta gra, która przybrała już rozmiar niekończącej się opowieści, toczy się o niezwykle wysoką stawkę – poczucie estetyki klasy średniej, którego najpopularniejszym symbolem jest czysty słup. Dzięki zaangażowaniu w ten temat aktywistów miejskich, nawet miejski PR-owiec postanowił wysłać prezydenta Poznania (wywodzącego się nomen omen z ruchów miejskich) na ulicę ze szpachelką w ręku i hordą dziennikarzy dookoła. Zaowocowało to serią artykułów w lokalnych mediach. Akcja ta – dedykowana zainteresowanej tematem widowni wyborczej – była równie zręcznym popisem co pozostałe posunięcia władz i ich aktywnych zwolenników – jak kary pieniężne czy modne ostatnio tropienie „przestępców plakatowych” ze strażą miejską na linii.

Warto chyba w tym miejscu podkreślić, że anarchiści nie są zwolennikami reklam zagarniających ostatnie wolne od nich skrawki miasta. Jesteśmy przeciwni wielkoformatowym i czysto komercyjnym reklamom nie tylko dlatego, że są wątpliwą ozdobą, ale przede wszystkim dlatego, że wspierają biznes i nakręcają bezmyślny konsumpcjonizm. Korzystanie ze sprywatyzowanych przestrzeni reklamowych wymaga nakładów pieniężnych, którym sprostać mogą nieliczni – wielki biznes, intratne przedsięwzięcia komercyjne oraz korporacje. Gdzie w tym wszystkim tzw. zwykły człowiek, gdzie oddolna inicjatywa mieszkańców, która podobno tak bardzo leży na sercu ruchom miejskim?

Co zaś tyczy się drobnych plakaciarzy, sprawa ta jest daleko bardziej złożona niż przedstawiają ją władze i miejscy aktywiści. Jak już wielokrotnie zaznaczaliśmy w swych komentarzach dotyczących omawianej sprawy – plakatowanie komercyjne nie jest rozrywką znudzonych mieszczan ale pracą, po prostu pracą. Zajęcie to jest obwarowane mocno prekarnymi, śmieciowymi warunkami i obok wielu tego typu prac stanowi często jedyną możliwość zarobkowania dla wielu ludzi. Sądząc po reakcjach aktywistów i tzw. porządnych obywateli, który kibicują ich staraniom, fakt ten jawi im się jako mocno osobliwy, tak dziwny, że niemożliwy do wyobrażenia w ich prostym, poukładanym świecie, którego granice wyznaczają trawniki bez psich kup i świeżo malowane słupy.

Dokonywanie znaczących zmian społecznych często jednak wymaga sięgania po to, co niewyobrażalne, przekraczania własnych ograniczeń myślowych oraz schematów narosłych w nas w toku socjalizacji. Bezrefleksyjne oddanie obecnemu ładowi prawnemu czy zbytnie umiłowanie porządku pomagają władzy trzymać społeczeństwo w ryzach i niwelować próby jakichkolwiek wystąpień przeciwko niej, czy nawet przejawy krytycznego myślenia. Taka postawa pomaga w niszczeniu wspólnotowości, której zadaniem jest wkluczanie wszystkich w obręb jej działań, ogranicza jej różnorodność i rozwój. Wydaje się to jednak być korzystne dla miejskich aktywistów, którzy bardziej niż w rozwiązywaniu istotnych problemów społecznych partycypują w nakręcaniu spirali kontroli i represji. Władza chętnie kara plakatujących, bo jest to znacznie prostsze od zwalczania krzykliwych bilbordów czy reklamowych płacht zasłaniających całe budynki. Dostaje się więc „zwykłym” ludziom, a nie wielkim firmom, które płacą im głodowe stawki za wykonywaną przez nich pracę. Nie wspominając już o tym, że potępiające takie praktyki miasto równocześnie samo nierzadko reklamuje się w podobny sposób – propagując za pomocą rozwieszonych gdzie się da plakatów swoje imprezy lub czerpiąc zysk z tak udostępnianych wydarzeń, na przykład poprzez pośredniczenie w sprzedaży biletów. Kampania zrywania plakatów i karania plakatujących trwa więc w najlepsze, a aktywiści miejscy nie tylko udzielają jej swego poparcia i czynnie biorą w niej udział, ale też z upodobaniem stosują własny system sankcji wobec winnych zbrodni na estetyce.

Mowa tu o plakatowaniu, jednak to zafiksowanie na punkcie prawa i porządku coraz częściej dotyczy również ludzi, którzy w jakiś sposób nie pasują do pożądanej przez aktywistów wizji miasta i funkcjonowania w nim. Coraz częściej bowiem obserwujemy niepokojące głosy „obywateli”, którzy pragną się pozbyć ze swojego otoczenia nie tylko plakatów czy krzykliwych szyldów, ale też wybranych grup społecznych, które bez ogródek potrafią nazwać ludzkim śmieciem przeznaczonym do wywózki. Sprawa ta wymaga więc pogłębionej analizy i uwagi ze strony tych, którym na sercu leży tworzenie oddolnego społeczeństwa, do którego należeć będą wszyscy, nie zaś tylko ci, którzy spełniają wymogi klasy średniej i wraz z nią śnią drobnomieszczański sen o mieście.

Jak zaznaczono w tytule jest to jednak zaledwie wstęp do rozważań nad aktywizmem miejskim. Artykuł ten stanowi bowiem zapowiedź broszury poświęconej temu tematowi. Konkretom przyjrzymy się więc za jakiś czas we wspomnianej publikacji, która rozwinie poruszone tu wątki i przyjrzy się kwestiom, na które w tymże artykule nie wystarczyło już miejsca.

Kończąc, musimy dobitnie podkreślić, że relacje między ludźmi, samoorganizacja, pomoc wzajemna oraz walka o realny wpływ na rzeczywistość znaczą dla nas – anarchistów – więcej niż prawo i porządek oraz czyjeś dobre samopoczucie, nadęte pojęcie estetyki i błyskotliwe kariery polityczne. Czyste ulice, wyczyszczone kamienice (oraz numer do straży miejskiej jak mantra powtarzający się w wybranych połączeniach), to wasze święte prawo do miasta. Niegrzecznie za nie podziękujemy, by dalej robić swoje. Do zobaczenia na ulicach – już teraz łapcie za telefony. (Kasia)



„Fiksmatynta” (poznańskie określenie na tablice z ogłoszeniami drobnymi) zainstalowana w 2010 r. w kilku miejscach Poznania przez manuFAkturę (grupę partyzantki miejskiej wywodzącą się z Federacji Anarchistycznej). Źródło: **emfa.pl**

Militaryzm. Pułapka narodowego mitu

Nie licząc kosztów ludzkich, nie słuchając rzeczywistych potrzeb społeczeństwa, politycy trzymają się za ręce z generałami i dopinają swego, wymachując szabelką za 140 miliardów złotych

Wydawać by się mogło, że po doświadczeniach wojennych lęk przed kolejnym krwawym konfliktem jest wystarczającym hamulcem bezpieczeństwa. Nic bardziej mylnego. Wojnę i zbrojenia można, a nawet trzeba uzasadnić.

Po pierwsze – Egoizm. „Niech się ludzie zabijają, grunt, że nie dotyczy to nas samych".

Po drugie – Odległość. „Zawsze ludzie się zabijali więc jeśli nawet giną, trudno. Najważniejsze, że tysiące kilometrów od nas".

Po trzecie – Patriotyzm. „Na dobrą sprawę czasami trzeba zabijać, choćby wroga naszego sojusznika".

Po czwarte, piąte i dziesiąte: „Wojna jest naturalną konsekwencją współistnienia ludzi, szczególnie w tak niespokojnych czasach". Módlmy się o to, aby media nie relacjonowały krwawej jatki. Ostatecznie przed telewizorami mogą przebywać małe dzieci.

Powodów sankcjonujących militarne zaangażowanie Polski może być więcej. Zmieniają się w zależności od zapotrzebowania, kontekstu i bieżących interesów. Tworzone są imitacje wartości humanistycznych dostosowanych do zapotrzebowania politycznego. Kreowane są wydmuszki przepełnione duchami narodowej martyrologii. Państwo, które proponuje określony system norm, politycznych instrukcji i narodowej jedności, świadomie buduje społeczeństwo, które nie ustaje w podsycaniu własnych mitologii. Jednym z mitów jest idea silnego państwa pełnego bohaterów gotowych ginąć za Polskę. Prawdziwi patrioci wiedzą, że cierpienie, chociaż bolesne, jest koniecznością wynikającą z obowiązku wobec ojczyzny. A o tym akurat się nie dyskutuje. Poza tym Mundur żołnierza taki wspaniały i te ordery, i te pochwały.

Żeby zrozumieć, skąd w społeczeństwie bierze się gotowość do wiwatowania na cześć defilady, wysyłania własnych dzieci na wojnę i wiary w niepokalanie najjaśniejszej Rzeczypospolitej, trzeba się nieco cofnąć.

Naród, a w ślad za tym narodowość, jest koncepcją stosunkowo młodą, wprowadzoną w XIX wieku. Ugruntowana głównie na potrzeby wąskiego grona beneficjentów wspólnota narodowa od zawsze ułatwiała możliwość manipulacji sprawującym władzę. Dzięki niej uporano się z Żydami, Romami i Łemkami. Za jej sprawą populistyczne i nacjonalistyczne treści docierały i wciąż docierają do szerokiego grona frustratów, tłumaczących własne niepowodzenia obecnością „obcych". Nieznana dawniej idea narodowa, stworzona dla uwiarygodnienia dążeń nacjonalistycznych zastąpiła myślenie wspólnotowe małych społeczności i odrębnych grup etnicznych. Nastąpiła w ten sposób unifikacja celów, dążeń i wrogów. Pojawiła się konieczność obrony wspólnych interesów, a w ślad za tym szczególna dbałość o wojsko.

Struktura państwa narodowego, ewoluując, stała się misterną układanką wzajemnych wpływów, w których nie armia, a układ sił społecznych – politycznych i ekonomicznych – decyduje o jego niezależności. Parlamentarny majstersztyk i święto demokracji jest doskonałym kamuflażem bez trudu wykorzystywanym do klepnięcia każdej decyzji. Powtarzane kłamstwo staje się prawdą. Tak czy inaczej, wolny czy zniewolony naród musi być silny i gotowy do poświęceń. Wszystko po to, aby korona najjaśniejszej została niedraśnięta.

W imię zachowania struktur, suwerenności i pokoju, parlament od lat sprzedaje społeczeństwu opowieść o czyhających wrogach. W ślad za tym w imię pokoju przemyca naturalną potrzebę dozbrojenia jako gwaranta stabilności. Dobrze ujęła to Emma Goldman:

„Przekonanie, że stała armia i marynarka wojenna stanowi najlepsze zabezpieczenie pokoju jest tak logiczne jak twierdzenie, że najbardziej pokojowo nastawiony obywatel to ten, który jest najlepiej uzbrojony. Doświadczenie życia codziennego pokazuje, że uzbrojona jednostka niezmiennie nie może się doczekać, aby sprawdzić swoją siłę. To samo stanowi prawdę historyczną, jeśli chodzi o rządy. Naprawdę pokojowo nastawione państwa nie marnują życia i energii na przygotowania do wojny. W rezultacie podtrzymywany jest pokój."

Koncepcje narodu i poświęcenia dla ojczyzny od zawsze były obce innemu, stojącemu w opozycji, dążeniu stawiającemu wolność jednostki jako priorytet. Myśleniu, u podstaw którego leży chęć zburzenia granic, zarówno tych fizycznych, jak i mentalnych, dyskryminujących innych z powodu odrębności. W ten sposób różnica pomiędzy podejściem narodowym i anarchistycznym jeszcze mocniej się uwidacznia.



Demonstracja pod WKU. Kalisz – 1992 r.

Militaryzacja, blisko spokrewniona z imperializmem, wynika z głębokiej chęci zdobycia większej przestrzeni kosztem innych, niezależnie od środków, bez liczenia się z ofiarami. Przykład II Wojny Światowej i innych konfliktów zarówno w Europie, jak i na świecie, wiele mówi o cenie, jaką muszą zapłacić głównie słabsi. Zasada jest oczywista. Jeśli chcemy zabrać sąsiadowi kawał ziemi, musimy to zrobić przemocą, musimy być silni własną armią. Proste równanie – nie ma imperializmu bez wzmożonej militaryzacji. Jest też ukryta zależność, o której zazwyczaj się nie wspomina. Rozpoczynając wyścig zbrojeń, świadomie stajemy się jednym z graczy, a o opresyjności, którą dotąd poznali obywatele, dowiedzą się inni. Wychodzimy z roli obserwatora i rozjemcy, przejmując nie tylko ogromne koszty, ale także niebezpieczeństwa z tego wynikające. Zaangażowanie polskich sił zbrojnych w Afganistanie i Iraku wiele razy potwierdziło brak zasadności udziału Polski w wojnie, którą USA prowadziło o szyby naftowe i wpływy na Bliskim Wschodzie. Efektem działań zbrojnych była niepotrzebna śmierć po każdej ze stron. Można zadać intuicyjne pytanie: W jakim celu to robimy? Odpowiedź nie jest jednoznaczna, bo poza chęcią bycia regionalnym liderem, najlepszym z sojuszników, musimy zaspokoić dążenia zakochanych w Powstaniu Warszawskim polityków. Trzeba zwrócić uwagę na coś jeszcze. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że koszt prowadzenia działań wojennych, które państwo przyjmuje, jest jednocześnie zyskiem prywatnych firm zbrojeniowych, powoli zależność pomiędzy przyczyną i skutkiem staje się czytelna. Dla porównania wojna USA z ISIS w 2015 r. przyniosła dochód prywatnym firmom zbrojeniowym na poziomie 400 milionów dolarów. Koszt interwencji w Iraku i Afganistanie nigdy nie został dokładnie określony, jednak oscyluje w granicach kilkuset miliardów dolarów. Krociowe zyski z obu wojen przypadły prywatnym firmom dostarczającym uzbrojenie i najemnych żołnierzy. Skapnęło także urzędnikom podpisującym zgody na akcje zbrojne pamiętającym o obecności złotodajnych szybów naftowych w regionie, które jak nigdy były na wyciągnięcie ręki. Julian Tuwim, chociaż nie mógł przewidzieć wojen na Bliskim Wschodzie w drugiej połowie XX wieku, napisał:

„Wiedz, że to bujda, granda zwykła / Gdy ci wołają: „Broń na ramię!" / Że im gdzieś nafta z ziemi sikła / I obrodziła dolarami"

Potrzeba dozbrojenia i unowocześnienia wojska wiąże się z koniecznością rozwoju myśli technicznej w obrębie inteligentnych specjalizacji. Można kupić rozwiązania od partnerów zagranicznych, ale z całą pewnością lepiej jest opracować własne. Można być dzięki temu i niezależnym, i bogatym, sprzedając je innym. Uczelni technicznych kształcących świetnych specjalistów jest w Polsce bardzo dużo. I tak nikt nie projektuje samochodów, tramwajów i pociągów. Dużo prościej jest ulec intratnym propozycjom lobbystów potężnych korporacji i rządu. Taka szansa może minąć za cztery lata, trzeba działać szybko.

Realizacja. Ministerstwo Obrony Narodowej prowadzi od lat obszerną i kosztowną kampanię informacyjną. Strach przed imperialnie myślącym sąsiadem staje się nie do zniesienia. Zgoda, zgoda, zgoda. Narodowe przyzwolenie – Trzeba się bronić – donoszą media. Roztrzęsiona pani w białym kapeluszu wyciera łzy, gniewnie krzyczy wąsaty pan z drugiego planu – Polska silna swoją armią. Zielone światło zapaliło się samo.

Program militaryzacji zakłada do 2022r. wydanie 140 miliardów złotych. Dokładnie tyle, ile kosztowałoby wybudowanie miliona mieszkań albo dwuletni program ochrony zdrowia. Pieniądze pochodzą z budżetu, czyli od nas. Podobno się zgodziliśmy, chociaż nikt nie pytał nas o zdanie. Najwięcej na militaryzacji zarobią firmy zbrojeniowe, ale nie jako jedyni będą mieli powód do świętowania. MON pomyślał o wszystkich zainteresowanych. Zgodnie z dyrektywą z listopada 2014 r. publiczne uczelnie techniczne będą komercyjnie wykonywać badania w ramach projektów zleconych przez Ministerstwo. Skoro i tak nie projektują samochodów, niech opracowują działa samobieżne.

Jak donoszą media w huraoptymistycznym tonie, Politechnika Wrocławska już rozpoczęła próby na lotnisku w Świdnicy, przygotowując dla resortu drony, systemy naprowadzania, kontrolę siły ognia, podsłuchy i nowe metody szyfrowania. Już wkrótce pojawi się nowa haubica. Rektor zaciera ręce, a społeczeństwo przygląda się, jak przyszli inżynierowie kształcą się na potrzeby wojskowości. Niby nic specjalnie dziwnego. Przecież cały świat działa według tych samych reguł. Jednak czynnik ekonomiczny, który niewątpliwie jest bardzo istotny, nie tłumaczy wszystkiego. Uczelnia publiczna działająca Pro Bono staje się w ten sposób elementem neoliberalnej polityki. Punktem strategicznym, który politycznie pragnie uwiarygodnić i zrealizować nową strategię. Pozostaje jeszcze kwestia etyki i kontroli nad pracami naukowymi. Zleceniodawca może w dowolnym momencie uzyskane projekty wdrożyć podczas ewentualnej wojny. Może też wykorzystywać je do inwigilowania własnego społeczeństwa, a tego nawet zagorzali narodowcy sobie nie życzą.

Nikt nie bije na alarm?

Anarchiści od zawsze z pełną determinacją występowali zarówno przeciwko militaryzacji, obowiązkowi służby wojskowej, jak i przeciwko udziałowi Polski w wojnach nazywanych enigmatycznie misjami stabilizacyjnymi. Zawsze mówiliśmy NIE! wszystkim działaniom zbrojnym, myśląc o ofiarach konfliktów – okaleczonych twarzach kilkuletnich dzieci, strzępkach ciał rozrywanych minami przeciwpiechotnymi, zgwałconych kobietach i głodujących, bezbronnych ofiarach. Nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że zarówno wojna, jak i zbrojenia są wynikiem opresyjności państwa i jego imperialistycznego charakteru. Militaryzacja od zawsze sankcjonowała rosnące oczekiwania firm zbrojeniowych. Wszystko „demokratycznie", przy poparciu parlamentu, zawsze w duchu jedności narodowej. Nigdy inaczej o tym nie myśleliśmy, jak tylko o rywalizacji samców alfa i koszmarnej zabawie, w której stawką jest życie tysięcy niewinnych ludzi. Działania, jakie podejmowaliśmy – nasza strategia oporu – od zawsze były bardzo zdecydowane. Pomoc prawna starającym się o służbę zastępczą, manifestacje i pikiety pod konsulatami agresorów, happeningi ośmieszające idiotyczne decyzje, to tylko niektóre z nich.

Nierzadko anarchiści stawali na ławie oskarżonych o znieważenie dyplomatów rezydujących w Polsce. Uczestniczyliśmy też w ogólnoświatowych kampaniach antywojennych, aktywnie je wspierając. To z inicjatywy anarchistów Jedzenie Zamiast Bomb, czyli inicjatywa rozdawania darmowych posiłków potrzebującym, zyskała tak duże poparcie społecznie.

Rok 2015 i cyniczne próby uwiarygodnienia decyzji obciążających nas wszystkich kosztem podkręconego do czerwoności generalskiego ego oraz kreacja interesu narodowego – jego obrazu i powszechnej interpretacji, sugeruje, że jesteśmy ofiarami geopolitycznych układanki. Rzeczywistość jest zgoła inna. Od 1989 roku jesteśmy krajem, który w dawnym bloku wschodnim, nie licząc Rosji, najwięcej inwestuje w obronność. Chcąc nie chcąc, stajemy się imperialistami. Być może nieco karykaturalnymi, jednak bardzo świadomymi i z ogromnymi aspiracjami. Nie licząc kosztów ludzkich, nie słuchając rzeczywistych potrzeb społeczeństwa, politycy trzymają się za ręce z generałami i dopinają swego, wymachując szabelką za 140 miliardów złotych.

Chyba nikt nie ma złudzeń, że Polska różni się czymś szczególnym od Grecji i Ukrainy w zakresie własnej suwerenności. Rzeczywisty stopień wpływu, jaki na system parlamentarny mają posiadacze kapitału oraz kontrolujący redystrybucję dóbr społecznych, uwypukla tylko w Polsce układ parademokratyczny. MILITARYZACJA JEST PRÓBĄ PODTRZYMANIA NARODOWEJ MITOLOGII WYNIKAJĄCEJ Z KONIECZNOŚCI UTRZYMANIA KONSTRUKCJI, KTÓRA GWARANTUJE DOSTATNIE ŻYCIE BANKIEROM, POLITYKOM, GENERAŁOM I WŁAŚCICIELOM SEKTORA ZBROJENIOWEGO. Państwu odartemu z możliwości decydowania o własnej suwerenności pozostaje tylko armia stanowiąca substytut niezależności.

Potrzebne są nowe działania. Konieczna jest przede wszystkim świadomość, która wynika z edukacji i głośnego upominania się o prawdę. Uzależnienie publicznych uczelni i ogromne pieniądze wyrzucane do leju po bombie nie mogą przejść bez echa. Ostatecznie odrzucając koncepcję narodu, wciąż tworzymy wspólnoty, które ponad wszystko mogą współpracować. Nie potrzebne są granice i nacjonalistyczne przywiązanie do mitu, tym bardziej, że powoduje on tylko zaostrzenie i tak agresywnych postaw. (Tom)

Wojna wojnie w całej Polsce

Pomiędzy 23 a 29 marca odbyła się w całym kraju kampania antymilitarna: „Wojna Wojnie. Przeciwko zbrojeniom".

Jest to konsekwencja zaangażowania ruchu anarchistycznego od lat 80. ubiegłego wieku w działania antymilitarne i przeciwko wojnom prowadzonym przez różne mocarstwa.

Federacja Anarchistyczna wydała na tę okazję plakat, który został rozkolportowany wśród zainteresowanych oraz prowadziła ogólnopolską stronę i koordynowała działania poszczególnych osób i grup.

Zainteresowanie kampanią antymiltarną przerosło nasze oczekiwania. W ciągu całego tygodnia odbyły się liczne plakatowania, na murach odbijano antymilitarne szablony i malowano hasła antymilitarne. Rozkolportowano też tysiące ulotek, nakłuwając tym samym, niczym zabieg akupunktury, świadomość chorego organizmu społeczności toczonych przez raka władzy.

Pikiety oraz wiece przeciwko wydatkom na zbrojenia i przeciwko poborowi do wojska często łączono z akcjami rozdawania ciepłych posiłków w ramach inicjatywy Jedzenie Zamiast Bomb, które ze swym antymilitarnym przekazem są aktywne przez większą część roku. Niektóre akcje przyjęły charakter happeningów, małych ulicznych koncertów i występów Samb rewolucyjnych i zarazem rewelacyjnych grup, które zagrzewały demonstrantów swym politycznym przekazem wygrywanym na bębnach.

Akcje odbywały się w ruchliwych centrach dużych miast jak i mniejszych miejscowości, czasem również pod jednostkami wojskowymi. Wiele z nich relacjonowały lokalne media. Poza tym cieszyły się one też dużym zainteresowaniem przechodniów. W niektórych miejscowościach odbyły się spotkania i pokazy filmów, a także koncerty pod hasłami naszej kampanii.

Kampania antymilitarna w różny sposób odbyła się w takich miejscowościach jak: Bielsko-Biała, Brzeg, Bydgoszcz, Bytom, Chorzów, Dąbrowa Górnicza, Dębno, Gdańsk, Gliwice, Gniezno, Kamienna Góra, Katowice, Kostrzyn nad Odrą, Koszalin, Kraków, Krosno, Leszno, Leżajsk, Lublin, Myślibórz, Nowy Sącz, Olsztyn, Ostrów Wielkopolski, Polanów, Poznań, Racibórz, Rzeszów, Sulęcin, Szczecin, Szczytno, Tarnowskie Góry, Toruń, Warszawa, Wędrzyn, Wrocław, Zabrze, Zielona Góra.

Nasz protest niestety jest nadal aktualny. Dlatego, pomimo że tydzień akcji miał swoje ramy czasowe, nasza krytyka wydatków na zbrojenia, które wpisują się w neoliberalną logikę elit politycznych kraju, trwa nadal.

Do bożka mamony władający nami dodali sobie wymachiwanie szabelką, by w czasie kryzysu kapitalizmu i tak przez władzę definiowanej demokracji społeczeństwo wpychać w objęcia nacjonalizmu i militaryzmu. Dwóch nierozłącznych chorych ideologii, które kosztowały ludzkość miliony istnień.

Nadal kolportujcie plakaty oraz ulotki, m.in. dostępne na **akcja.type.pl**

Dziękujemy wszystkim za zaangażowanie i wspólne działania! Do zobaczenia podczas kolejnych akcji, na ulicach, pikietach i murach.

Stop militaryzacji!

Stop nacjonalizmowi!

Wojna wojnie, przeciwko zbrojeniom!



fb/wojnawojnie

Jedzenie Zamiast Bomb

Jedzenie Zamiast Bomb to inicjatywa społeczna polegająca na rozdawaniu ciepłych, wegańskich posiłków ludziom biednym, bezdomnym i bezrobotnym. Akcji towarzyszy przekaz antyrządowy i antywojenny, a jej ideą przewodnią jest pokazanie, że kiedy władza wydaje pieniądze na niepotrzebne zbrojenia, wielu ludzi głoduje lub umiera z głodu.

Food Not Bombs powstało w latach 80. XX wieku z inicjatywy kilkunastu działaczy antywojennych i anarchistycznych w Cambridge (USA). Aktualnie akcja odbywa się regularnie w większości miast w Ameryce Północnej, Europie, Azji, Australii i Afryce.

Produkty spożywcze zdobywane są głównie darmowymi środkami, tzn. działacze chodzą po rynkach, sklepach spożywczych i supermarketach, prosząc o warzywa, które sprzedawcy zamierzają wyrzucić (bądź już wyrzucili) ze względu na kończący się termin ważności lub brak popytu, by przyrządzić z nich później ciepłe posiłki. W ten sposób zwracają uwagę na problem głodu na świecie, wynikający nie z braku żywności lecz z polityki państwa, którego rząd woli inwestować pieniądze podatników w przemysł zbrojeniowy, zamiast przeznaczać je na pomoc dla najuboższych, głodujących ludzi na całym świecie przez cały rok (sic!). Zatem akcja Jedzenie Zamiast Bomb to nie tylko darmowe posiłki: aktywiści protestują przeciwko zbrojeniom, ponieważ uważają, że żadna wojna nie jest humanitarna. Domagają się radykalnego obcięcia na nie wydatków i przekazania pieniędzy na rozwiązywanie realnych problemów społecznych. W Polsce ponad 2 mln ludzi żyje w skrajnym ubóstwie, podczas gdy miliardy złotych wydawane są przez państwo na wojny na drugim końcu świata (Afganistan)... Na wojny, w których giną głównie cywile, na wojny, które mają tylko jeden cel: wzbogacić już bogatych kosztem tych najbiedniejszych i najbardziej bezbronnych! Aktywiści FNB sprzeciwiają się tej antyspołecznej polityce prowadzonej przez wszystkie dotychczasowe rządy, jak i konsumpcyjnemu modelowi życia, gdzie miliony ton jedzenia są marnotrawione, a ludzie mniej zaradni, głodni i bezdomni spychani są na margines społeczeństwa jako bezwartościowe jednostki. Promują wegańskie i wegetariańskie posiłki, gdyż łączna ilość zwierząt hodowlanych na świecie spożywa ilość pokarmu równą kalorycznym potrzebom prawie dwukrotnej liczbie ludzkiej populacji (tymczasem na świecie z głodu umiera 16 tysięcy dzieci dziennie!). Ukazują, że możliwe jest przygotowanie pełnowartościowych i smacznych posiłków bez niepotrzebnego i bezsensownego cierpienia zwierząt, bez zatruwania powietrza, gleby i wody. Ponadto organizują również koncerty i imprezy benefitowe wspierające inicjatywę.

Główne założenia organizacyjne Jedzenia Zamiast Bomb to:

1. Uzyskiwanie możliwie jak największej ilości żywności, ubrań oraz innych rzeczy rozdawanych na akcjach, poprzez ich recykling
2. Podejmowanie wszelkich decyzji na zasadzie konsensusu
3. Brak hierarchicznej struktury
4. Zasada otwartości:

– otwartość rozprzestrzenienia ruchu (Jedzenie Zamiast Bomb może utworzyć każda grupa ludzi, która tylko ma na to ochotę, bez pytania o zgodę ruchów w innych miejscach)

– otwartość ruchu na działaczy (każdy, kto wyrazi chęć może wziąć udział w przygotowywaniu bądź rozdawaniu żywności)

– otwartość społeczna ruchu (każdy, kto ma potrzebę, otrzyma całkowicie darmowy posiłek)

Namiary na niektóre grupy:
Lublin – fnb_lublin@wp.pl
Ostrów Wielkopolski – albanskacrew@gmail.com
Łódź – fnblodz@riseup.net
Szczytno – fnbszczytno@riseup.net
Szczecin – foodnotbombs.szczecin@o2.pl
Kraków – fnb.krakow@gmail.com
Poznań – jedzeniezamiastbombpoz@op.pl

fb/ jedzeniezamiastbomb



ANTYMILTARYZM – KULTURA OPORU

Artyści, literaci, poeci od lat wykorzystują różnorodne media, by szerzyć i umacniać przekaz antymilitarystyczny, działając w ten sposób na rzecz solidarnego społeczeństwa występującego przeciwko każdej władzy

Żyjemy w „ciekawych czasach" i znów trzeba apelować o działania antymilitarne. Zarówno teraz, jak i przed stu laty, w sukurs akcji bezpośredniej idzie aktywność na polu kultury. Artyści, literaci, poeci od lat wykorzystują różnorodne media, by szerzyć i umacniać przekaz antymilitarystyczny, działając w ten sposób na rzecz solidarnego społeczeństwa występującego przeciwko każdej władzy.

Właściwie trudno rozpoznać początek tego zjawiska. Jest mniej więcej tak stare, jak koncepcja przymusowego poboru do wojska oraz idea wojny – „jedynej zabawy bogatych, w której udział biorą biedni". Dziś wciąż jeszcze odkrywamy zapomniane przykłady chłopskiej kultury oporu, czego najbardziej spektakularnymi przykładami są albumy i koncerty R.U.T.A. oraz Kapeli Ze Wsi Warszawa. Była to często indywidualna, przypadkowa trochę krytyka armii i wydatków na zbrojenia, które obecnie próbujemy ująć bardziej systemowo.

Antymilitaryzm jako spójna ideologia narodził się dopiero wtedy, gdy pojawiła się idea tzw. walki klas. Nic dziwnego. To odpowiedź na nowoczesne państwo i prowadzoną przez nie politykę wojenną. Stąd antymilitaryzm rozkwita w kręgach lewicowych i anarchistycznych, gdzie z kolei zyskuje formę nie tylko emocjonalnego sprzeciwu. To nie tylko prosty pacyfizm i „wojna wojnie", ale także (a może przede wszystkim) ekonomiczna krytyka wydatków na zbrojenia. Antymilitaryzm to też próba wskazania realnych beneficjentów działań wojennych, co nieodłącznie splecione jest z krytyką kapitalizmu jako systemu opartego na nierównościach i wykorzystującego różnego rodzaju parawany, jak nacjonalizm, w celu ukrywania prawdziwych problemów uboższych warstw społecznych.

Nic zatem dziwnego, że idea ta szczególnie mocno rozwijała się w środowiskach robotniczych i radykalnych, świeżo zainspirowanych przez teorię i praktykę socjalizmu oraz anarchizmu. Marks, Bakunin czy Goldman żyli w czasach tryumfującego imperializmu, którego ideologii militaryzm był i jest częścią składową. Krytyka przymusu, niesprawiedliwej redystrybucji ściąganych od ludzi podatków czy absurdu wojennej przemocy to kwestie czytelne i dość powszechnie podzielane, co zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku było widoczne w liczebności ruchów lewicowych i anarchistycznych.

Jednak obecna forma antymilitaryzmu jako kultury oporu narodziła się tak naprawdę dopiero po wybuchu I Wojny Światowej. Było to doświadczenie gorzkie z wielu względów. W wojnie upatrywano bowiem zalążka rewolucji społecznej, która zniesie stary, klasowy porządek. Jean Renoir, legenda lewicowego i radykalnego kina, nazwał to „Wielkim złudzeniem". W swym najsłynniejszym filmie o takim właśnie tytule (u nas, o ironio, rozpowszechnianym pod tytułem „Towarzysze broni") zasugerował wprost: wojna nie znosi wcale podziałów klasowych, a zamiast solidarności przynosi jej prawicową iluzję – solidaryzm. Solidaryzm sugeruje egalitaryzm warstw społecznych i nawołuje do odrzucenia walki klas. A jednak, choć do jednego obozu nieraz trafiają ludzie z różnych środowisk, nic się nie zmienia. Arystokraci francuscy świetnie dogadują się z niemieckimi, mimo że oficjalnie wmawiają tysiącom Francuzów nienawiść do Niemców. Sami jednak z wojen chcą wynieść przede wszystkim finansowy zysk i umocnienie międzynarodowych wpływów, co dzieje się za parawanem działań militarnych. Biedni, robotnicy, kobiety instynktownie trzymają się razem i choć czasem nie znają swych języków, dogadują się w mig. Renoir sugeruje, że granice państw, które są też jednym z powodów wybuchów wojen, to twór sztuczny, na który ludzie nie zważają. Jeśli są jacyś „towarzysze broni", to tylko walczący o sprawy społeczne.

Wielka Wojna była w ogóle szokującym doświadczeniem. Najpełniej ukazał je Erich Maria Remarque, weteran wojenny i autor chyba najsłynniejszej powieści antymilitarystycznej oraz pacyfistycznej w dziejach, czyli „Na Zachodzie bez zmian". Zakazana niemal z miejsca w nazistowskich Niemczech książka opisuje okrutną rzeczywistość wojny oraz głębokie oderwanie od cywilnego życia niemieckich żołnierzy. W dobitny sposób przedstawia wojenną rzeczywistość, niemalże z dziennikarską precyzją. Nie ukazuje heroicznej i bohaterskiej walki żołnierzy na froncie, ale skupia się na ich cierpieniu oraz bezsensowności całego konfliktu, uwypukla tragedię pokolenia, „którego pierwszym zawodem było robienie trupów". Powieść została dwukrotnie zekranizowana i stanowiła pierwszą tego typu krytykę militaryzmu. W podobnym duchu utrzymane są i inne ważne dzieła, poświęcone Wielkiej Wojnie: legendarna „Wielka Parada" z 1930 r. ukazująca wojnę z perspektywy szeregowca czy późniejszy filmy, wojnę traktujące jako rzeź i rozbicie ludzkiej solidarności: australijski „Gallipoli" Petera Weira z 1981 r. czy „Ścieżki chwały" Stanleya Kubricka z 1957 r.

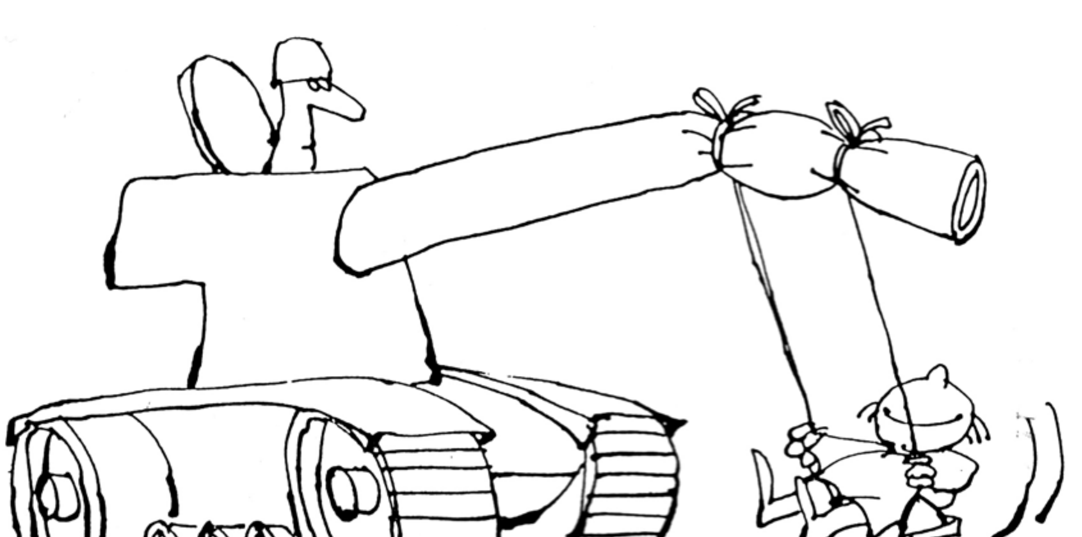
Bywało jednak, że militaryzm wyśmiewano. Robił to Chaplin w głośnej burlesce „Charlie żołnierzem", w krzywym zwierciadle ukazującej „wojenny heroizm". Klasycznym przykładem anarchistycznego humoru antymilitarystycznego jest cykl o przygodach dobrego wojaka Szwejka, w istocie bezkompromisowa krytyka wojen, wojska i wszelkiej władzy. Hašek krytykuje też patriotyzm jako mit i miraż, który służy tak naprawdę ogłupianiu ludzi i tylko napędza wojenny interes. Cykl również doczekał się ekranizacji.

Jeszcze przed Drugą Wojną Światową wielką sprawą i wyzwaniem dla antymilitaryzmu była wojna i rewolucja społeczna w Hiszpanii. Poruszony bombardowaniem baskijskiego miasteczka Guernica Pablo Picasso namalował swój słynny obraz w 1937 r., poeci (np. Broniewski, Lorca) pisali wiersze, pisarze – powieści (np. „Komu bije dzwon" Hemingwaya), a George Orwell opublikował „W hołdzie Katalonii". To gorzkie dzieła, ukazujące społeczne tło wydarzeń, ale też wojenne piekło zasłaniające w istocie ruchy władzy i służące interesom uprzywilejowanych grup społecznych.

Następna Wielka Wojna była już inna i inne są też jej krytyki. Przede wszystkim po Pierwszej sądzono, że już „nigdy więcej" ludzie z różnych krajów nie staną przeciw sobie. Stało się jednak inaczej, a preludium poniekąd były wspomniane wydarzenia w Hiszpanii, które jednak były tylko elementem w szeregu wydarzeń. W różnych krajach kwitły lokalne faszyzmy, umacniali się bolszewicy, wypierano ludowy antymilitaryzm z międzywojennych kabaretów (np. piosenka „Niech żyje wojna"). Okazało się, że krytyka wojennego szaleństwa to kwestia polityczna, a najsłynniejszą komedię o tej tematyce – „Dyktatora" Charliego Chaplina z 1940 r. – oczywiście objęto zakazem rozpowszechniania. Do dziś w Polsce czy Rosji odczuwamy reperkusje tych zdarzeń. Państwowa propaganda szuka bohaterów w ofiarach tego konfliktu, zmieniając czasem tylko lekko proporcje, w zależności od aktualnego trendu. Aktualna polska polityka historyczna sprowadza się np. do bezmyślnej gloryfikacji amorficznego, prawicowego tworu, jakim są tzw. „żołnierze wyklęci" – szeroko rozumiani „działacze partyzantki antykomunistycznej" (co zresztą nie jest prawdą). Do jednego worka wrzucani są chętnie kolaboruјący z III Rzeszą narodowcy, łączniczki, przypadkowe ofiary bezpieki, mordujący i plądrujący białoruskie wioski bandyci, wyzwalający obozy koncentracyjne AK-owcy i wielu innych. Być może to najlepiej pokazuje, do czego prowadzi wojna. Jej piekło w zupełnie szokujący, ale też maksymalnie dobitny sposób pokazał Jerzy Kosiński w potwornej powieści „Malowany ptak", a także białoruski reżyser Elem Klimow w słynnym filmie „Idź i patrz". Groteskowy obraz wojny odnajdujemy w skeczu Monty Pythona w ramach ich „Sensu Życia", gdzie wojna i wojsko jest jedną wielką masakrą i absurdem, a patriotyzm to jedynie zbiór pustych słów usprawiedliwiający zbrodnie.

Druga wojna miała i ma silne reperkusje w kulturze. Jej owocem są liczne filmy postapokaliptyczne, począwszy od głośnego cyklu o „Godzilli" (powstałej w wyniku użycia broni atomowej), przez wybitne anime „Grobowiec świetlików", antymilitarystyczną i antynazistowską animację „Czarodziej" Ralpha Bakshiego po dzieła pokazujące po prostu świat „po Zagładzie": „Ostatni brzeg" z 1957 r. czy „Droga" z 2006 r. Swietłana Aleksijewicz poświęciła różnym wojnom wiele ze swych książek, a większość z nich – jak „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety" – było przez wiele lat zakazanych. Krytyka wojen z perspektywy jej ofiar to cenna i zawsze mocna perspektywa, w istocie ukazująca realną grę interesów, jaką osłaniają działania militarne.

XX wiek przyniósł jeszcze wiele konfliktów, które znalazły swe odbicie w kulturze. Silne piętno odcisnęła zwłaszcza wojna wietnamska, której uczestnicy również usiedli później do piór i stanęli za kamerami. Efektem były i są nie tylko wspomnienia, utwory muzyczne (np. legendarne wykonanie hymnu USA przez Jimmy`ego Hendrixa, brzmiące w istocie jak odgłosy bombardowań i strzałów, wszystko pod patriotycznym sztandarem), ale też erupcja nowego typu kina grozy: horroru gore. Jeden z jego czołowych twórców, bardziej co prawda jako charakteryzator niż reżyser, Tom Savini, sam mówi, że gdyby nie kamera i aparat, które pozwalały mu odrealnić wojenny koszmar, po prostu by oszalał. W powstałych w latach 70. filmach gore ofiary giną tak, jak ginęli wietnamscy jeńcy, a oprawcy żartują tak, jak żartowali mordujący żołnierze. W „Szaleńcach" George`a A. Romero władza wykorzystuje epidemię do wprowadzenia stanu wojennego, a w późniejszym „Day of the Dead" (1985) – Pentagon okazuje się głównym beneficjentem apokalipsy zombie. Te tematy zresztą obecnie w kulturze – w powieściach, filmach, serialach, grach – nieustannie powracają. Żyjemy w „ciekawych czasach" i wciąż powinniśmy ponawiać apel „Wojna wojnie! Przeciwko zbrojeniom!". (kris)





Jean Vigo – anarchista z kamerą

Zapomniany przez blisko 30 lat, uznawany jest za najbardziej konsekwentnego i najciekawszego z anarchistycznych twórców filmowych, rozwijającego każdym kolejnym filmem język kina, a nade wszystko traktującego kino jako narzędzie demaskowania „społeczeństwa spektaklu" i nawoływania do obalenia zastanego porządku

Jean Vigo to jeden z nielicznych wybitnych reżyserów-anarchistów. Choć zrealizował zaledwie cztery filmy, na zawsze zapisał się w historii kina i anarchizmu. Zafascynowany teorią i praktyką Francisco Ferrary, Errico Malatesty i Piotra Kropotkina, pragnął za pomocą kinematografu zarówno analizować rzeczywistość, jak też nawoływać do społecznej rewolty.

Jean Vigo był synem pary anarchistów. Od dzieciństwa zatem uczestniczył w spotkaniach aktywistów, jednak – również wskutek politycznych repreji – nie zaznał zbyt wiele rodzinnego ciepła. Jego ojciec, posługujący się od pewnego momentu pseudonimem Miguel Almereyda (akronim zawołania hiszpańskich anarchistów: „A la mierda"; „Je..ć to!" – to też hasło-klucz rozpoczynające rewoltę uczniów w „Pale ze sprawowania" – najsłynniejszym, najbardziej anarchistycznym filmie reżysera), zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w więzieniu. Jednak w pamięci chłopca pozostał jako mit działacza politycznego i po prostu dobrego człowieka. Niekochany przez matkę, przenoszony do kolejnych szkół z internatem (jako dziecko anarchistów musiał mieć zmieniane nazwisko), chorowity i wyobcowany, przyjaciół znalazł Vigo w jednej z grup anarchistycznych.

Na podstawie praktyki i lektur stworzył swą własną mitologię anarchizmu. Był przekonany, że całkowite lub przynajmniej częściowe zniesienie rządu jest konieczne. Wierzył, że ludzie są z natury dobrzy, tylko psuje ich władza. Państwo jest narzędziem wyzysku i przymusu, natomiast społeczeństwo jest naturalne i wolne. Zdaniem Vigo człowiek jako istota społeczna spełnia się w dobrowolnej pracy i nie znajduje zaspokojenia w niczym, co jest owocem przymusu. Natomiast zmiany społeczne muszą dokonać się za pomocą działań rewolucyjnych, z użyciem przemocy.

Przyuczony do zawodu fotografa, postanowił za pomocą „radykalnego kinematografu" analizować rzeczywistość z pozycji anarchistycznych (antycypując w tym sytuacjonistów) oraz nawoływać do rewolty przeciw wszelkiej władzy i hierarchii. Jean Vigo zmarł na gruźlicę w wieku 29 lat. Jest uznawany za najbardziej konsekwentnego i najciekawszego z anarchistycznych twórców filmowych, rozwijającego każdym kolejnym filmem język kina, a nade wszystko traktującego kino jako narzędzie demaskowania „społeczeństwa spektaklu" i nawoływania do obalenia zastanego porządku. Zapomniany przez blisko 30 lat, stał się wielką inspiracją dla zrewoltowanej młodzieży z lat 50. i 60., zwłaszcza z kręgów francuskiej Nowej Fali i brytyjskich Młodych Gniewnych.

Nie dał się wpisać w żaden modny nurt, jak realizm poetycki czy surrealizm, choć czerpał z nich inspiracje, wyciągając własne, radykalne wnioski. Nie unikał w swych filmach humoru, wiedząc o tym, że rewolucje gubiły zawsze śmiertelna powaga i przekonanie o konieczności istnienia „awangardy rewolucyjnej". Vigo strącał pomniki, nie pokazywał jednej właściwej drogi, cenił autonomię jednostek, nie zapominał jednak o szerszym interesie społecznym. W swych dziełach przywracał podmiotowość (ale nie fetyszyzował) robotników, wołał o rewoltę w szkołach, badał możliwości kina jako medium anarchistycznego, nie dając się sprowadzić na manowce gotowych recept i wizji „raju na Ziemi".

Jego uznawany dziś za arcydzieło i jeden z najważniejszych filmów w dziejach kina obraz „A propos Nicei" (1930) to z pozoru jeszcze jedna „symfonia miasta", gatunek dość popularny w latach 20. i 30. XX wieku. Jean Vigo wyjechał do Nicei w celu podreperowania zdrowia, ale szczerze nienawidził tego miasta-kurortu. Tu skupiały się jak w soczewce wszystkie sprzeczności i nierówności kapitalizmu. Na garstkę znudzonych bogaczy pracują rzesze robotników, starców i dzieci. Są niewidzialni, przezroczyści. Vigo postanowił zwrócić im podmiotowość. Nie chodzi o to, że stają się postaciami pierwszoplanowymi czy też ich życie jest ciekawsze lub wznioślejsze niż bogaczy. Właściwie to nudzą się, śmieją, szukają okazji do zgrywy – tak samo jak burżuazja. Wcale nie chcą zastąpić „klasy panującej", chociaż gdy już – w błyskotliwy sposób zmontowana – następuje zagłada kapitalistycznego świata (właściwie jej sugestia), radośnie się uśmiechają, machają, cieszą się.

Następny obraz Vigo to efekt kompromisu. By zdobyć pieniądze na kolejne polityczne dzieła, musiał nakręcić film reklamowy. W efekcie powstał „Taris" (1931). Wykorzystując formułę dokumentu oraz filmu instruktażowego, Vigo nawiązuje do ducha „wolnej szkoły" – naturalnej potrzeby rozwoju na własnych warunkach, opartego na pasji i radości. Oglądamy utytułowanego pływaka, który udziela nam niejako lekcji swego zawodu. „Taris" płynnie jednak przechodzi od instrukcji w czyste kino – następstwo obrazów, zabawę formą, wolność wynikającą z realizacji swych pragnień, bez kapitalistycznej presji indywidualnego sukcesu. W przeciwieństwie do „sportowych" (np. górskich) filmów nazistowskich, Vigo unika fetyszyzacji ciała. Oto mistrz w swej dziedzinie po prostu mówi i pokazuje wszystkim, że każdy może tak pływać i warto dzielić się umiejętnościami.

„Pała ze sprawowania" powstała w 1933 r. i od razu została objęta zakazem rozpowszechniania, uchylonym dopiero z końcem II Wojny Światowej. Uznano ją za „film antyfrancuski" (a szerzej: antypaństwowy) oraz „nawołujący do przemocy".

Vigo nie opowiada jednak po prostu historii buntu ani też nie kataloguje przykładów szkolnego terroru. Rozsiewa za to w całym filmie elementy anarchistycznej mitologii, a każdy jego – nawet wydawałoby się przypadkowy – element to składnik przemyślanej krytyki. „Pała ze sprawowania", zrealizowana częściowo jako film surrealistyczny, przedstawia unicestwienie systemu szkolnego jako mit (rozumiany podobnie jak Sorelowski „strajk generalny"), ale też konieczność. Vigo analizuje szkołę z anarchistycznych pozycji, dowodząc, że opiera się ona na niesprawiedliwości, umacnianiu nierówności społecznych, stygmatyzujących stereotypach, ukrywaniu patologii, a nade wszystko – na tępieniu naturalnych dążeń ludzkich, co czyni zresztą każda władza. Jest oczywiste, że mimo starań jeden „wolnościowy nauczyciel" (wzorowany na Francisco Ferrerze) nie ma żadnych szans. W momencie wybuchu rewolty pozostaje mu pomachać z sympatią kapeluszem. Trzeba zniszczyć cały system, tylko wtedy będzie możliwe tworzenie „wolnej szkoły" – zdaje się mówić, parafrazując Bakunina, Jean Vigo.

Ostatni film francuskiego anarchisty, „Atalanta" (1934), również padł ofiarą ataków cenzury. Wielokrotnie go przemontowywano, cięto, podkładano mu bardziej komercyjną muzykę. Vigo, chorujący na gruźlicę, nie doczekał jego premiery, nie miał też już sił, by walczyć z kapitalistycznym reżimem potencjalnej opłacalności. Jego ostatni film, w bardzo kalekiej formie, został niezmiernie chłodno przyjęty, zarówno przez widzów, jak i krytyków. Dopiero po latach udało się zrekonstruować jego możliwie pierwotną formę, odkrywając tym samym jedno z największych arcydzieł w historii kina.

„Atalanta" to przede wszystkim anarchistyczna metafora miłości. Miłości nie jako uczucia przełamującego konwenanse i sprzeczności, ale jako kolejnego wariantu wzajemności i szacunku. W filmie Vigo jest ona uczuciem podlegającym negocjacjom, ale rozumianym jako rodzaj ciągłej refleksji, szukania konsensusu i zrozumienia. To coś pozaracjonalnego, a jednocześnie kształtowanego przez twardą rzeczywistość, otwartego i szczerego, ale nie danego raz na zawsze. W pewnym sensie wywalczonego i takiego, o które trzeba stale walczyć, by nie uległo degeneracji. Miłość jest tu więc niejako metaforą społecznej rewolucji jako takiej.

Wszystkie filmy Jeana Vigo, wraz z prelekcjami i dyskusjami, można było zobaczyć w poznańskiej Anarchistycznej Klubo-Księgarni Zemsta w ramach cyklu „Zemsta kina", podczas którego chcielibyśmy pokazywać Wam filmy zarówno anarchistyczne, jak i przedstawiające anarchię i anarchistów – z bardzo różnych perspektyw, od realizmu po fantastykę, od paszkwili po afirmacje. Same projekcje to jednak zaledwie wstęp do dyskusji i późniejszych działań – edukacyjnych, samopomocowych, lokatorskich, pracowniczych. Uważamy, że kino wcale nie musi odciągać od czynnego zaangażowania w walki społeczne, wręcz przeciwnie – może być narzędziem analizy rzeczywistości i tworzenia kultury oporu. (kris)

radykalnykinematograf.wordpress.com

www.alterkino.org

Korporacja

Fragment wydanej przez Bractwo Trojka książki ***Jadę do Magadanu. Wspomnienia anarchisty*****, autorstwa Igora Oliniewicza, więźnia białoruskiej dyktatury**

Białoruś to rodzinna korporacja z rocznym dochodem kilkudziesięciu miliardów dolarów (dla porównania, coroczny dochód Intela to 15 miliardów dolarów, a Apple'a – 45 miliardów dolarów). Na czele korporacji stoi rada dyrektorów składająca się z ministrów i kierowników komitetów przy Radzie Ministrów. Nie są oni gospodarzami, a tylko top-menedżerami. Każdy z nich jutro może okazać się nikim. Prawdziwy gospodarz jest jeden – Rodzina. Średnie ogniwo korporacyjnego zarządu (poziom wykonania projektów) składa się z około 1000 osób. Są to ludzie, w których rękach jest jakaś, chociaż minimalna władza. Niższy poziom – personel wykonawczy, czyli ci, którzy prowadzą politykę korporacji. Podsumowując, aparat korporacji składa się z około 90 tysięcy funkcjonariuszy. To właśnie jest klasa rządząca kraju.

Aparat ten ma na celu wypełniać dwa najważniejsze zadania korporacji:

1. Spis, kontrola, zbiór danych na temat całej działalności gospodarczej kraju,
2. Zapewnienie korporacyjnego bezpieczeństwa i nacisku społecznego.

Najbardziej dochodowe gałęzie korporacji to obróbka i sprzedaż rosyjskiej ropy naftowej i produktów pochodnych, nawozu potasowego i towarów chemii gospodarczej, produkcja samochodów oraz przemysł mięsno-mleczarski.

80% własności należy do państwa, 20% do osób prywatnych. Biznes prywatny jest efektywniejszy niż państwowy, ale Rodzina na wszelkie sposoby tłumi jego rozwój. Po pierwsze struktury państwowe łatwiej okradać. Najlepsze kęsy trafiają prosto do Rodziny. Po drugie, korzyść dla aparatu korporacji. Razem ze zniżkami korporacyjnymi i przywilejami rządzący personel chce otrzymać swoją część dochodu w zamian za lojalność. Pod uwagę brane są również prawne i bezprawne kradzieże, umowy, nepotyzm itd. Schematy kradzieży są dobrze opracowane. Rodzina musi się z tym pogodzić. Po trzecie, prywatyzacja, chociaż obiecuje chwilowe korzyści, prowadzi do wzrostu ilości burżuazji tj. prywatnych osób prawnych i indywidualnych przedsiębiorców. Niebezpieczeństwo polega na tym, że burżuazja nie chce (ze swojej natury) z nikim się dzielić i dlatego próbuje zrzucić z siebie jarzmo rodzinnej korporacji. Będąc silną, mając możliwości, wolę i środki burżuazja dąży do połączenia z liberalnymi politycznymi ruchami (opozycją) i/lub częścią aparatu korporacyjnego. Celem jest zdetronizowanie Rodziny i ustanowienie kolegialnego organu rządzenia aparatem tj. parlamentu. Rodzina nie może całkowicie zlikwidować sektora prywatnego, bo właśnie nim łata się dziury w budżecie.



Igor i Mikołaj po wyjściu z więzienia

Na samym dole, pod aparatem korporacyjnym i podmiotami gospodarczymi, znajdują się ludzie nazywani Białorusinami. Nie posiadają oni absolutnie niczego, bo są zupełnie zależni od budżetu i państwowych przedsiębiorstw. Ludzie to wieczna bolączka korporacji, bo trzeba im wypłacać pensje, dawać ulgi, zapewniać służbę zdrowia, transport, edukację, odpoczynek. Problem zaczyna się, gdy masy pokazują niezadowolenie. Tak naprawdę samo niezadowolenie i niepokój społeczny nie zagrażają korporacji. Bardzo łatwo je stłumić za pomocą służb bezpieczeństwa. Samo MSW ma 14,5 pracownika na 1000 mieszkańców. Jednakże niezadowolenie społeczne może wykorzystać burżuazja i siły liberalne. I dlatego właśnie Rodzina tłumi wszelkie przejawy społeczeństwa obywatelskiego, nie daje kształtować się siłom liberalnym, wywiera skryty nacisk na aktywnych działaczy burżuazji i opozycji (np. relegowanie z uniwersytetu i zwolnienia z pracy, kontrola biznesu itd.).

Niepokój społeczny jest czymś stałym. Logiczny łańcuch można przedstawić tak: niezadowolenie – niepokój – strajki – bunt – rewolucja. Najbardziej korporacja boi się nawet nie liberalnego wpływu na masy, a rozczarowania mas wszystkimi rodzajami siły. Jeśli ludzie zrozumieją, że wszystko co ich otacza jest stworzone przez nich samych, że bez zwykłych pracowników naczelnicy są niczym, jeśli ludzie poczują swoją siłę, zmienią się w naród. Naród to społeczność świadoma swoich praw i interesów. I biada wtedy każdej władzy!

Politycy w swoich grach zawsze ze strachem patrzą na „kartę narodu". Odwrotna strona tej karty to socjalna rewolucja. Nie można jej uspokoić niczym, oprócz najostrzejszego terroru. Spotkali się z tym bonapartyści z czasów rewolucji francuskiej, a także bolszewicy. Nie na darmo Lenin i Trocki mówili, że powstania narodowe były dla nich bardziej niebezpieczne niż wszystkie białe armie razem wzięte!

I dlatego korporacja robi wszystko, żeby ludzie pozostawali obojętni w stosunku do polityki, a jej drugą funkcją jest ochrona własnego bezpieczeństwa i nacisk na społeczeństwo.

W korporacji istnieją specjalne instytuty, które za pomocą najnowocześniejszych odkryć nauki śledzą możliwy wpływ zachwiań gospodarki na nastroje mas. Drogą efektywnego manipulowania cyframi w sferze polityki socjalnej, korporacji udaje się rok za rokiem utrzymywać względną obojętność. Jednym z takich mechanizmów jest Komitet Kontroli Państwowej, który dostaje konkretne instrukcje z góry. Ale to są szczegóły. Ogólnie rzecz biorąc, system nacisku społecznego narzuca ludziom:

– wartości konformistyczne, kiedy ludzie boją się i wstydzą myśleć inaczej niż wszyscy;

– wartości konsumpcyjne, kiedy rozwój osobisty jest ściśle związany z poziomem posiadanych dóbr materialnych;

– wartości nacjonalnego patriotyzmu, kiedy przez hiperbolizację kolektywnego uczucia wymusza się miłość do symboli korporacji, poczucie jedności z nią, utożsamianie siebie z klasą rządzącą, postrzeganie ludzi innych narodowości jak wrogów jawnych i skrytych.

Presja społeczna obejmuje sztuczne podtrzymywanie ciągłego deficytu (żeby ledwie starczało), uczucia zewnętrznego i wewnętrznego strachu, żeby udaremnić ludziom zrozumienie prawdziwych problemów i przyczyn leżących u podstaw tych problemów.

Oprócz narzucania niszczących wartości, oprócz codziennego ogłupiania i kłamstwa podawanego przez media, korporacja prowadzi aktywną politykę alkoholizacji i narkotyzacji ludności. Pierwsze – legalnie, poprzez sprzedaż alkoholu i tytoniu, drugie nielegalnie, poprzez osłanianie laboratoriów, kanałów dostaw i sieci dilerskich (tak, właśnie tak!). Są to przeogromne pieniądze i wygodny instrument społeczny.

W ideale Rodzina chciałaby posiadać:

1. absolutnie lojalny i bezsprzeczny aparat korporacyjny.
2. zgodną burżuazję, zawsze gotową na przycięcie ich praw;
3. formalną, niezdolną do życia opozycję jako zasłonkę dla „cywilizowanego" świata;
4. posłuszne bydło zamiast narodu, znajdujące się w stanie pełnej degradacji.

Ludzie dla korporacji są materiałem. Zawsze znajdzie się potrzebna ilość pozbawionych zasad karierowiczów gotowych po trupach wspinać się po szczeblach, aby stać się częścią klasy rządzącej, otrzymując odpowiednie wykształcenie i wypierając się sumienia. A reszta niech się degraduje, niech emigruje...



Białoruś w przededniu wyborów prezydenckich 2015 r. Nadchodzą zmiany?



Zbliża się jesień, a wraz z nią kolejne „wybory" prezydenckie na Białorusi, które odbędą się 11 października 2015 r. Aparat państwowy aktywnie przygotowuje się do tradycyjnego zwycięstwa Aleksandra Łukaszenki. Czy tym razem opozycji uda się zapoczątkować na Białorusi realne zmiany?

Polityka

Oprócz Łukaszenki na fotel prezydenta kandyduje kilka osób, ewidentnych elementów dekoracyjnych, którym pozwolono stać obok Łukaszenki i stwarzać pozory demokratycznych i wolnych wyborów. Jednak po raz pierwszy od 20 lat brakować będzie prawdziwego kandydata opozycji. Najbardziej znani z nich – lider Zjednoczonej Partii Obywatelskiej oraz „czołowy" białoruski komunista Siergiej Kaliakin z partii „Sprawiedliwy Świat" nie zebrali 100 tys. podpisów. Jedyną „opozycyjną" kandydatką jest Tacciana Karatkiewicz, o której dość przychylnie wypowiadała się władza. Problem jednak związany jest z samym ruchem „Mów Prawdę", którego jest reprezentantką. Liderem jej sztabu jest niejaki specjalista od wizerunku Andriej Dmitrijew, który skompromitował się jeszcze podczas ostatnich wyborów prezydenckich, a o którym krótko lecz treściwie pisze Igor Oliniewicz[1]. Warto zaznaczyć, iż w tym roku ruch „Mów Prawdę" opuścił jej lider – znany literat Uładzimir Niakliajeu.

Opozycja przez długi czas nie była w stanie porozumieć się co do taktyki kampanii wyborczej. Poważnie zastanawiano się nad możliwością wysunięcia jedynego kandydata. Taką osobą stał się Mikołaj Statkiewicz, kandydat na prezydenta w 2010 r. niezarejestrowanej Białoruskiej Socjaldemokratycznej Partii (Ludowa Hramada). Więzień polityczny – jedyny kandydat, który pozostał w więzieniu po represjach z końca 2010 r. – został niespodziewanie zwolniony 22 sierpnia. Wydaje się, że na chwilę obecną właśnie on jest największym moralnym autorytetem w rozdrobnionej opozycji, która szuka nowych rozwiązań. Zgodnie z prawem jednak Statkiewicz nie może ubiegać się o fotel prezydenta, gdyż okres rejestrowania kandydatów minął dawno temu. 21 sierpnia minął również okres zbierania podpisów. Interesujące, że właśnie następnego dnia wszyscy więźniowie polityczni zostali zwolnieni. W tym również anarchiści, wśród których największy wyrok (8 lat) dostał wspomniany już Igor Oliniewicz oraz Mikołaj Diedok. Jego wyrok 4,5 lat więzienia wiosną tego roku wydłużony został o kolejny rok. Na wolność trafili również anarchista Artiom Prokopienko, młody nacjonalista Jauhen Waśkowicz, który wraz z nim rzucał koktajl Mołotowa do KGB w Bobrujsku oraz słynny ze swego tatuażu „Łukaszenko odejdź" Jurij Rubcow. Wszyscy oni zostali uznani przez „demokratyczny" Zachód za więźniów politycznych. Obecnie zostali poddani milicyjnemu nadzorowi profilaktycznemu przez kolejne 5 lat. System więzienny na Białorusi jest wiernym spadkobiercą systemu radzieckiego. Już nie wspominając o tym, że w tym europejskim kraju w XXI w. nadal stosuje się karę śmierci.

Igor Oliniewicz odpowiada na pytanie o wyrazy solidarności płynące z Polski:

„Z Polski otrzymałem dziesiątki pocztówek i niektóre potrzebne rzeczy od byłych polskich więźniów politycznych. Każda rzecz została przyjęta z miłością i świadomością tego, jakie panują warunki w więzieniu, dlatego dla mnie były to rzeczy bezcenne, gdyż upewniali mnie w wierze w ludzką solidarność. Z otrzymanym szalikiem nie rozstawałem się przez cały czas swej obecności w łagrze.
Ogólnie, z wolności otrzymałem kilka tysięcy listów. Listy okazały mi bezcenne wsparcie moralne i podnoszenie na duchu. Jeszcze wtedy powiedziałem, że jeżeli nasza sprawa powoduje u ludzi taką solidarność, to wszystko było nienadaremnie, chociażby tylko z tej przyczyny. Solidarność jest najlepszym środkiem w walce z kajdanami, apatią i cynizmem, z których społeczeństwo powinno obowiązkowo wyzwalać się. Ludzie tak się zjednoczyli!
O mojej matce można kręcić osobny film, o tym jak się tworzyły koła solidarności z ludzi różnych warstw. Dziękuję wam z całego serca!"[1]

1 http://www.svaboda.org/content/interview/27205833.html#hash=relatedInfoContainer

Gospodarka

Najsmutniejsze jednak jest to, że nie wszyscy Białorusini są świadomi, iż takie osoby istnieją. Po części można ich zrozumieć, gdyż żyją w ustroju, nad nazwą którego ciągle dyskutują politolodzy. Białoruś nie jest Koreą Północną i na pewno nie jest Związkiem Radzieckim. Jest tam Internet, są Mc'donaldsy, ludzie wyjeżdżają za granicę, są drogie auta i galerie, istnieje kultura niezależna. Jednym słowem życie toczy się normalnie. Jednocześnie kraj znajduje się pod pewnego rodzaju kopułą rosyjską. Na terytorium republiki są rozmieszczone obiekty wojskowe Federacji Rosyjskiej, w społeczeństwie dominuje język rosyjski oraz rosyjskie media i kultura masowa. Państwo jest uzależnione od Rosji gospodarczo i finansowo. W lipcu 2015 r. Łukaszenka otrzymał kolejny, „przedwyborczy" kredyt z Moskwy w wysokości 760 mln $. Od 1 września o 5% wzrosły emerytury (warto zaznaczyć, że na Białorusi wiek emerytalny dla kobiet wynosi 55 lat, a dla mężczyzn 60). Środki na ten cel – którymi władza nie dysponuje – trzeba gdzieś szukać.

Od kilku lat w mediach Białorusini słyszą o niekończącym się kryzysie i że z czasem będzie lepiej. Ale to jutro, bo dzisiaj rośnie bezrobocie. W ciągu pierwszych 3 miesięcy z największych zakładów (Miński Zakład Traktorów, Zakład maszyn rolniczych w Homlu, największe przedsiębiorstwo budowlane MAPID, fabryka opon Bielszyna, rafineria Naftan i inne) zostało zwolnionych 13 tys. osób[2]. Są to dane oficjalne. Białoruska produkcja nakierowana w większości na rynek rosyjski nie znajduje tam kupców. Magazyny zakładów są wypełniane własną produkcją. Oprócz zwolnień zakłady są zmuszane do stosowania niepełnego wymiaru godzin pracy, chociaż według danych Narodowego Komitetu Statystycznego RB w pierwszym półroczu zarejestrowane bezrobocie wynosiło tylko 1%. Władza, szukając wyjścia z kryzysu, wymyśla coraz „oryginalniejsze" rozwiązania. W kwietniu został podpisany dekret prezydenta o zapobieganiu społecznemu pasożytnictwu. Przypomnijmy, że podobne prawo w walce z „nierobami" w latach 1961-1991 istniało wyłącznie w Związku Radzieckim. Według nowego dekretu osoby stale mieszkające na Białorusi i zdolne do pracy, a nieuczestniczące w finansowaniu wydatków państwowych będą płacić karę w wysokości ok. 800 zł. Po wprowadzeniu dekretu przed urzędami pracy pojawiły się kolejki, ale ludzie nie chcą pracować za 200 $ miesięcznie. Średni zarobek na Białorusi oficjalnie wynosi ok. 450 $, ale rubel białoruski stale traci na wartości. W ciągu ostatnich 2 tygodni sierpnia staniał kosztem dolara o ponad 15 %. W tym roku wycofano z obrotu banknot o nominale 50 BLR. Niemniej jednak Białoruś pozostaje krajem milionerów, gdyż dolar amerykański kosztuje ok 18 tys. rubli białoruskich.

Społeczeństwo

Co na to społeczeństwo? Ano funkcjonuje. Ktoś narzeka, ktoś emigruje, komuś się podoba. W związku z zaistniałą sytuacją geopolityczną w regionie – spowodowaną konfliktem zbrojnym na Ukrainie – Łukaszenka zarobił punkty polityczne i zwiększył poparcie dla siebie. Skorzystał na rokowaniach pokojowych w Mińsku oraz hasłach, które sprowadzają się do wychwalania pokojowych Białorusinów. Przecież im nie jest potrzebny Majdan i żadne przewroty, nie są potrzebne nacjonalizmy, to wszystko prowadzi do wojen i utraty przez państwo terytoriów. A w tym konflikcie międzynarodowym tylko białoruski model władzy i układu społecznego okazuje się być gwarantem pokoju i stabilności. Spora część społeczeństwa w to wierzy i pokornie przyjmuje. Co prawda nigdy nie wiadomo, w jakim momencie może zacząć się rewolucja. Jeszcze 2 lata temu trudno było wyobrazić sobie to wszystko, co wydarzyło się i wciąż dzieje się na Ukrainie.

Czy możemy mówić o jakichkolwiek prognozach politycznych na najbliższą przyszłość? Oprócz stale zwiększającego się regresu gospodarczego i wyzwolenia więźniów politycznych – pamiętajmy, że za wyjątkiem Prokopienki nikt z nich nie podpisał listu o ułaskawienie – na chwilę obecną nic nie rokuje masowych protestów i zmian w sytuacji społeczno-politycznej na Białorusi. Czy Statkiewicz, były wojskowy, obecnie weźmie na siebie odpowiedzialność zorganizowania masowych protestów, czy Białorusini dalej będą trwać w tym letargu? Europosłanka stająca na czele delegacji UE wysłanej na Białoruś Maira Mora 30 sierpnia w państwowej telewizji optymistycznie oświadczyła, iż opuszcza kraj „Na fali polepszających się stosunków Białorusi i Unii Europejskiej"[3]. Najwyraźniej Łukaszenko gra z Zachodem, stara się o pieniądze i dąży do legitymizacji władzy poprzez kolejne wybory.

Nie wolno jednak zapominać, iż w tej chwili zarzuty mają osoby związane z etno-anarchistami z grupy „Poszug"[4]. 2 osoby przyznały się do winy i zapłaciły odszkodowanie. W tej chwili, mając zakaz opuszczania miejsc zamieszkania, znajdują się na wolności. Za graffiti (art. 339 KK „Chuligaństwo") grozi im nawet do 6 lat pozbawienia wolności. Śledczy Komitet RB oskarża ich również o użycie nazistowskiej symboliki oraz obrażanie uczuć weteranów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Wydaje się, że wyroków jednak nie dostaną i nowych bohaterów w postaci więźniów sumienia nie będzie. Przynajmniej przed wyborami. Czy można spodziewać się wybuchu społecznego, gdyż hasło oskarżonych grafficiarzy głosi: „Rewolucja świadomości już się zaczęła", czy też musimy zgodzić się z bardziej pesymistycznym twierdzeniem Oliniewicza, iż na Białorusi „Więzienie jest modelem wolności, a wolność jest kopią więzienia", okaże się wkrótce.

(Aleksander Łaniewski)

1 I. Oliniewicz, *Jadę do Magadanu*, Poznań 2015, s. 82–83.

2 . , http://nn.by/?c=ar&i=152364&lang=ru.

Grecja na kolanach

Grecki kryzys obnażył prawdziwe oblicze Unii Europejskiej, która jest niedemokratyczną strukturą służącą jedynie do obrony interesów oligarchów finansowych i globalnego kapitału. Terapia szokowa zostanie przeprowadzona niezależnie od tego, kto będzie rządził w Atenach

Styczniowe zwycięstwo lewicowej partii Syriza w Grecji wzbudziło nadzieje wielu Greków i mieszkańców innych dotkniętych kryzysem regionów Europy. Nowy rząd złożony z polityków spoza establishmentu obiecywał zmianę polityki reform. Po kilku miesiącach nerwowych negocjacji rząd Grecji skapitulował i został zmuszony do kontynuowania programu "oszczędności" wbrew woli społeczeństwa wyrażonej w referendum. Grecja jest pierwszym krajem Europy, w którym demokracja została zawieszona, a władzę przejęli biurokraci pozostający poza jakąkolwiek kontrolą.

W medialnej debacie o kryzysie greckim i jego następstwach dominują uproszczenia. Prawica twierdzi, że przyczyną bankructwa Aten było rozbudowane państwo opiekuńcze, korupcja i niska wydajność pracy Greków, których stereotypowo przedstawia się jako leniwych kombinatorów, którzy fałszowali statystyki. Lewica uważa, że powodem problemów tego kraju były spekulacje ułatwione przez wejście Grecji do strefy euro oraz masowe unikanie opodatkowania. Ekonomista Paul Krugman zwraca uwagę na kształt strefy euro, który powoduje, że Grecja nie może zdewaluować waluty, co poprawiłoby konkurencyjność greckiego eksportu.

Dziś oczywiste jest, że realizowany od 2010 r. program pomocowy narzucony Grecji przez tzw. Trojkę, czyli MFW, Europejski Bank Centralny i Komisję Europejską, jedynie pogorszył sytuację. Plan zakładał udzielenie Grecji kolejnych pożyczek pod warunkiem przeprowadzenia reform wydatków publicznych. Od tego czasu Grecja ciągle potrzebuje pieniędzy z zewnątrz by regulować bieżące wydatki, bezrobocie przekracza 25 % a gospodarka pozostaje w recesji. Dziesięć pakietów reform i oszczędności, które doprowadziły do ubóstwa miliony obywateli, nie uratowało jednak sytuacji finansowej tego kraju.

W 2015 r. Grecja została postawiona pod ścianą i kiedy Atenom groziła niewypłacalność rząd Tsiprasa ugiął się przed Trojką i zgodził się na kolejne „reformy". Bezprecedensowe jest to, w jaki sposób Grecja została zmuszona do kontynuowania dotychczasowej polityki. Były grecki minister finansów J. Warufakis twierdzi, że negocjatorzy Trojki ignorowali przedstawiane argumenty ekonomiczne, a jedynym ich celem było pogrążenie lewicowego rządu i pozbawienie wyborców złudzeń, że głosując na lewicową partię, mogą coś zmienić.

Trojka jest instytucją, której nie obejmują żadne traktaty. Jej obrady są tajne i odbywają się bez określonych reguł. Nieformalna i niedemokratyczna struktura decyduje obecnie o sprawach kluczowych dla obywateli, takich jak wysokość emerytur i wynagrodzeń, dostępność edukacji i służby zdrowia czy ceny żywności. Grecja de facto znalazła się pod protektoratem, a wybory i referendum zamieniono w pozbawioną znaczenia farsę. Ateny prawdopodobnie stracą kontrolę nad majątkiem publicznym, który będzie prywatyzowany przez specjalny fundusz nadzorowany przez Komisję Europejską i EBC. 10 mld euro pozyskane w ten sposób zostanie przeznaczone na wsparcie banków, a reszta na spłatę zadłużenia. Nie przewidziano natomiast pieniędzy na pomoc dla ubożejących obywateli, co pokazuje, jakie są priorytety europejskich przywódców.

Ponieważ faktyczną przyczyną greckiego kryzysu jest niska konkurencyjność gospodarki w systemie globalnego kapitalizmu i jej deindustrializacja, uznano, że najlepszą metodą na uzdrowienie będzie obniżenie kosztów pracy. Bankructwo Grecji zostało wykorzystane do rozmontowania instytucji państwa opiekuńczego i przeprowadzenia tzw. wewnętrznej dewaluacji, czyli celowego obniżenia stopy życiowej, co ma poprawić „konkurencyjność", czyli umożliwić kapitałowi eksploatację taniej siły roboczej. To jest gorzka pigułka, którą lewicowy rząd podaje obywatelom. Zwycięstwo Syrizy niczego nie zmieniło w życiu Greków, a jedynie rozdrażniło polityczny establishment Europy, który postanowił upokorzyć rząd Tsiprasa. Dla Grecji oznacza to jedynie dalszą destabilizację, nasilenie protestów społecznych i kolejne wybory, które niczego nie zmienią. Terapia szokowa zostanie przeprowadzona niezależnie od tego, kto będzie rządził w Atenach.

Grecki kryzys obnażył także prawdziwe oblicze Unii Europejskiej, która jest niedemokratyczną strukturą służącą jedynie do obrony interesów oligarchów finansowych i globalnego kapitału. Przewodniczący Parlamentu Europejskiego socjaldemokrata Martin Schulz apelował nawet o wprowadzenie w Grecji „rządu technokratycznego", co jednak okazało się zbędne, gdyż w obliczu szantażu finansowego Ateny wprowadzą wszystko, czego oczekuje Trojka.

(Łukasz Kuś)

www.grecjawogniu.info



Zamieszki przed parlamentem po przyjęciu przez rząd Grecji nowego programu cięć.

Operacja Fenix – prowakacja czeskich służb specjalnych

O okolicznościach zatrzymań i aresztowań oraz metodach, jakie podczas trwania kilkumiesięcznej operacji używała policja, możnaby pomyśleć, że trafiły na śmietnik historii wraz z końcem poprzedniego ustroju

W kwietniu 2015 r. czeska policja rozpoczęła operację przeciwko ruchowi anarchistycznemu, antypaństwowemu oraz ruchowi animalistycznemu. Operacja ta znana jest pod kryptonimem „Fenix". Podczas początkowej fazy wiele osób zostało przesłuchanych, niektórzy z nich zostali aresztowani, dokonano obławy na kilka miejsc. Policja skonfiskowała serwery, komputery, pendrive'y, aparaty fotograficzne, telefony i inne urządzenia elektroniczne i nośniki danych. Nadal nie wiadomo, jaki jest rzeczywisty rozmiar tej akcji i ile osób jest monitorowanych oraz jakie są zamiary policji. Kilka razy zdarzyło się, że policja fabrykowała lub celowo ukrywała pewne ważne informacje po to, by uzyskać pozwolenie na przeszukanie różnych lokali i aresztowanie ludzi.

W kolejnych tygodniach i miesiącach na światło dzienne zaczęła wypływać cała lawina nowych informacji, dzięki którym runęła misterna medialna fasada brawurowej policyjnej operacji. Oprócz bardzo pożądanych przez media „przecieków" informacyjnych z tajnych policyjnych źródeł, które miały na celu wykreowanie wizerunku „niebezpiecznych terrorystów", na powierzchnię zaczęły także wypływać niejasne okoliczności zatrzymań i aresztowań. Dotyczyły one także metod, jakich podczas trwania kilkumiesięcznej operacji używała policja, a o których wielu ludzi mogłoby pomyśleć, że trafiły na śmietnik historii wraz z końcem poprzedniego ustroju. Były to szeroko stosowane podsłuchy połączeń telefonicznych i internetowych, śledzenie przez tajną policję, bezpodstawne stawianie groźnych oskarżeń w nadziei na wyciągnięcie jakichkolwiek informacji, „odwiedziny" policji w domach aktywistów o bardzo wczesnych godzinach oraz wiele innych „niestandardowych działań". Ponadto działania te nie były wymierzone tylko w pojedynczych „podejrzanych", ale dotknęły szerokiego kręgu osób, które miały pecha, że zostały uznane za „ekstremistów". Na ile policja jest gotowa działać na granicy prawa, czy zupełnie je przekraczać, okazało się po opublikowaniu informacji ujawnionych dzięki atakowi hakerskiemu na serwery włoskiej firmy o niepewnej reputacji zajmującej się szpiegowaniem komputerów. Według hakerów czeska policja (w najlepszym przypadku półlegalnie) zleciła za olbrzymią kwotę przygotowanie wirusów umożliwiających infiltrację komputerów oraz skrzynek e-mailowych lewicowych aktywistów. Zarówno legalność całego przedsięwzięcia, jak i środki w nim użyte, zostały zakwestionowane nawet przez Urząd Ochrony Danych Osobowych (ÚOOÚ).

Policja infiltrowała aktywistów nie tylko poprzez telefony i komputery. W działania niektórych grup zaangażowali się tajni prowokatorzy. Po jakimś czasie, gdy ich pozycja wśród anarchistów została ugruntowana, zaczęli coraz częściej mówić o potrzebie przeprowadzania bardziej bojowych akcji – zaczęli też aktywnie uczestniczyć w przygotowaniach do nich. Akcja mająca na celu atak na pociąg została więc zaplanowana i współorganizowana przez (co najmniej) dwóch tajniaków. Tymczasem policja twierdzi, że zapobiegła temu atakowi poprzez aresztowanie czterech osób (jedna z nich została zwolniona z aresztu w lipcu). Tak więc bez inicjatywy służb specjalnych do zaistniałej sytuacji w ogóle by nie doszło. Celem policji było najprawdopodobniej zdyskredytowanie, zastraszenie i podzielenie całego ruchu anarchistycznego oraz zebranie możliwie jak największej ilości informacji na temat grup, działań i jednostek.

Poważne wątpliwości odnośnie do tej sytuacji wyraził szereg osobistości życia publicznego w liście otwartym do policji oraz prokuratury.

Krótko po zatrzymaniach, które w niektórych przypadkach przekraczały granice prawa, miała miejsce kolejna budząca wątpliwości akcja: ewikcja centrum kulturalno-społecznego Cibulka, którą przeprowadziło ponad stu ciężko uzbrojonych policjantów wspartych przez armatkę wodną. Policja weszła tym samym w kompetencje sądu, w tym wypadku mającego rozstrzygnąć obywatelski spór pomiędzy



Praga, 28 sierpnia, demonstracja solidarnościowa

właścicielem i mieszkańcami. Oddzielnym rozdziałem tej historii są również bezustanne próby powstrzymania realizacji projektu autonomicznego centrum socjalnego Klinika. Po kilku dniach, podczas których aktywiści spotykali się z represjami, doszło także do brutalnego ataku policji na antyfaszystów blokujących marsz neonazistów w Brnie. W tym samym mieście dwa miesiące później, podczas innej demonstracji, w dramatycznych okolicznościach specjalna jednostka policji zatrzymała młodego rosyjskiego anarchistę. Postawiono mu absurdalne zarzuty próby ataku butelkami z benzyną na dom ministra obrony, którego miałby dokonać w imieniu putinowskiego reżimu, w rzeczywistości walczącego z rosyjskim ruchem anarchistycznym za pomocą ciężkich represji. Chociaż policja nie ma żadnych bezpośrednich dowodów, młody aktywista cały czas pozostaje w areszcie.

Przed zapadnięciem wyroku osoby oskarżone powinny być traktowane jako niewinne. Jednak w rzeczywistości nie tylko w mediach, lecz również w działaniach wymiaru sprawiedliwości widać, że zasada domniemania niewinności została zignorowana, a oskarżeni są traktowani jak gdyby już zostali skazani. Zatrzymani byli przetrzymywani w izolatce – pozbawieni możliwości kontaktu z najbliższymi oraz współwięźniami. Gdy w końcu zezwolono na widzenia, odbywały się one za pleksiglasową szybą, z zapiętymi kajdankami. Wszelka korespondencja przychodziła do nich z kilkutygodniowym opóźnieniem, rzadko zezwalano im wychodzić na spacerniak, odmawiano dostarczania paczek i pieniędzy od rodziny. Pojawiły się też problemy z posiłkami. Władze aresztu pomimo wcześniejszych zapewnień nie zastosowały się do wymogów diety jednego z oskarżonych, co odbiło się na jego zdrowiu.

Zarówno w Czechach, jak i w całej Europie odbyły się liczne akcje solidarnościowe z zatrzymanymi. Organizowano pikiety, wywieszano banery, pisano listy do oskarżonych. 28 sierpnia w Pradze przeszła demonstracja. Jej uczestnicy solidaryzowali się z represjonowanymi aktywistami oraz wyrazili swój sprzeciw wobec systemu opresji.

Artykuł ten powstał na podstawie materiałów tłumaczonych z języka czeskiego i angielskiego.

antifenix.noblogs.org

Antykongres



W kwietniu bieżącego roku w Katowicach odbył się po raz kolejny *Antykongres*. Jest to coroczny protest środowisk anarchistycznych i wolnościowych przeciwko odbywającemu się w tym samym czasie Europejskiemu Kongresowi Gospodarczemu. W tym roku akcja ta zderzyła się z bardzo silną reakcją ze strony organów represji. Podczas okupacji jednej z kamienic na ulicy Mariackiej aresztowano 23 osoby, stawiając im zarzut „naruszenia miru domowego". Poniżej prezentujemy wywiad z jednym z organizatorów akcji, który również znalazł się wśród aresztowanych.

Kiedy poczuliście, że policja zaczęła bardziej interesować się kolejnym Antykongesem?

Rosnące zainteresowanie policji pojawiło się wraz z klarowaniem się kolejnej koncepcji *Antykongresu*. Ich obecność najbardziej odczuwalna była w okolicach Tymczasowej Strefy Autonomicznej „WolneTory" – miejsca, które udostępniło nam przestrzeń do wspólnych spotkań i dyskusji. Pojedyncze patrole policji zaczęły pojawiać się już na kilka miesięcy przed planowaną datą wydarzenia. Zdarzały się niezapowiedziane wizyty w TSA, obserwowanie miejsca, osób pojawiających się na spotkaniach – nie tylko tych związanych z akcją.

Czy mieliście jakikolwiek bezpośredni kontakt z policją przed oficjalnym rozpoczęciem akcji?

Trudno to nazwać kontaktem, ale zostaliśmy „zaproszeni" na negocjacje dotyczące samego przebiegu demonstracji. Nasze stanowisko było jasne – nie będziemy stosować się do żadnych propozycji czy sugestii. Jak się jednak okazało w trakcie spotkania, policjanci zaskoczyli nas, grając przychylnych, troszczących się o bezpieczeństwo demonstrantów, nawet zapewniali, że nie planują pojawiać się na ulicy Mariackiej „bo jest zbyt ciasna". Oczywiście, jak się potem okazało, wszystko to było grą, żeby w ten sposób zbić nasz plan działania, uśpić naszą czujność i gotowość do opracowywania ewentualnego planu awaryjnego działania.

Jakieś szczególne postępowanie policji bezpośrednio w trakcie zatrzymań?

Już pierwszym absurdem jest to, że do zawinięcia grupy okupującej budynek użyto antyterrorystów. Podczas ich wjazdu jedna z osób obecnych w budynku dostała ataku padaczki. W sumie trzy osoby zostały z komisariatu przewiezione prosto do szpitala. Samo zatrzymanie przebiegało według „standardu". Jedna z osób została uderzona. Na miejscu byliśmy obrażani oraz próbowano nas zastraszyć. Część z nas miała utrudniony dostęp do toalet.

Jak wyglądała sytuacja osób uczestniczących w akcji już po jej przeprowadzeniu?

Po zatrzymaniach miało miejsce wiele mniej lub bardziej represyjnych akcji policji. Na początek warto wspomnieć o tym, że każda z osób zatrzymanych została dokładnie przetrzepana. Policja pojawiła się w domu rodzinnym każdej z nich. Policjanci nie udzielali żadnych konkretnych informacji o sytuacji zatrzymanych – nawet gdy zgłaszały się do nich osoby z punktu widzenia prawa najbliższe. Jakiś czas po akcji dwóch z naszych kolegów w trakcie zwykłego spaceru zostało wylegitymowanych przez policję antynarkotykową. Jeden z policjantów twierdził, że kojarzy naszego kumpla po „akcji na Mariackiej" i że nie podoba mu się, że tyle „roboty" im przysporzyliśmy. Następnie koledzy zostali bezpodstawnie przeszukani. Na ich żądanie odprowadzenia w ustronne miejsce i założenia rękawiczek do czynności przeszukania policjant odpowiedział żeby się zamknęli, albo „podrzuci im rzeczy, które ma ze sobą".

No i ostatnie pytanie. Co z niedawną sytuacją na TSA? Czy miejsce dalej odczuwa skutki Antykongresu?

Naszym zdaniem, co zresztą podkreśliliśmy w oświadczeniu wydanym bezpośrednio po tej akcji, miało to związek z wydarzeniami na Mariackiej. Bezpodstawne najście policji i przeszukanie budynku miało na celu przypomnieć nam, że mają nas na oku. Zbliżający się zapewne termin zakończenia postępowania przygotowawczego też nie był obojętny. Wiemy, że policja od dawna interesowała się Przestrzenią Autonomiczną. Po całym wydarzeniu wystąpiliśmy do Komendy policji o przesłanie nam nakazu policji lub sądu zatwierdzającego przeszukanie Wolnych Torów. Otrzymaliśmy odpowiedź, że działania policjantów nie spełniały znamion przeszukania, więc nie wymagały formy protokolarnej. W odpowiedzi załączyliśmy nagranie z telefonu, na którym widać między innymi jak policjant otwiera zamkniętą kanapę, lub przesuwa meble od ściany. Poprosiliśmy o ustosunkowanie się do załącznika – na razie bez odpowiedzi. Złożyliśmy też skargę na działanie policji – kilka dni temu otrzymaliśmy odpowiedź, że działania policji mieściły się w ramach prawnych, a policja dokonała „zgłębienia" informacji o rzekomych narkotykach w tym miejscu i dokonała „lustracji", która nie wymaga protokołu i nie jest przeszukaniem. Tak jak się spodziewaliśmy.

faslask@riseup.net

fb/FederacjaAnarchistycznaSlaskFas

Mamy szczęście – wygrywamy. Dwadzieścia jeden lat to „oczko"



Rozbrat to nie tylko miejsce, gdzie dzieją się rzeczy ważne i poważne. To nie tylko miejsce, gdzie aktywność polityczna przeplata się z działalnością kulturalną. To także miejsce, gdzie dzieją się dziwne, zabawne i mrożące krew w żyłach wydarzenia.

Rozbrat to także ogień i woda.

Pierwszy duży ogień na Rozbracie to jakoś tak jesień 1994 roku, kiedy to podczas wspólnego ogniska postanowiliśmy spalić karetę. Tak, tak – karetę, którą jeden ze współmieszkańców przytargał i wstawił do pokoju spotkań, sugerując, że mogłoby być to miejsce spotkań na kawę. Kareta była wspaniała – niestety nie miała kół, tylko sam kosz z dachem i drzwiczkami.

Pewnego wieczora, gdy nasz kolega wyjechał, wytargaliśmy ów przedmiot na zewnątrz i wepchnęliśmy do ogniska. W ciągu minuty ognisko zmieniło się w żywioł, a płomień strzelał w niebo na wysokość 3 metrów albo i więcej. Pamiętam jak obleciał nas cykor, że zaraz sąsiedzi zadzwonią po straż pożarną. Na szczęście nic takiego się nie zdarzyło i poza gniewem naszego kolegi nie ponieśliśmy żadnych innych konsekwencji.

Sylwester 1994 roku też dał o sobie znać wielkim pożarem. Gdy wyszliśmy na zewnątrz z nieba leciały wielkie płaty popiołu – po wejściu na dach okazało się, że płonie zabytkowy budynek cyrku Olimpia, niedaleko Rozbratu, u zbiegu Poznańskiej i Mickiewicza. Strażacy polewali sąsiednie domy wodą, aby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się pożaru.

Potem były próby podpalenia Rozbratu przez jakąś naziolską swołocz, nikomu jednak na szczęście nic się nie stało, straty były minimalne.

Była także i woda – Rozbrat przeżył dwie wielkie powodzie w 2007 i 2010 r. Tę drugą pamiętam doskonale. Rankiem, dzień po koncercie zaczęło padać, zatkał się przepływ w Bogdance i w ciągu godziny duża część terenu rozbratowego znalazła się pod wodą. W najgłębszych miejscach było ponad metr wody. Członkowie zespołów zakasali rękawy i wraz z mieszkańcami układali worki z piaskiem. W niektórych miejscach pomogło, w innych niestety nie. Na szczęście deszcz ustał i woda opadła, nie zalewając w całości budynku mieszkalnego.

Kilka miesięcy temu natura ponownie dała o sobie znać – kilkuminutowy wicher połamał lub wyrwał z korzeniami drzewa (całkiem zresztą duże). Po raz kolejny obyło się jednak bez specjalnych strat, niestety kilka następnych dni trwało usuwanie przewróconych i połamanych pni – ku uciesze fanów wieczornych ognisk, bo zebrał się spory zapas drewna.

Rozbrat to też wieczne i niekończące się remonty – a to dach przecieka, a to trzeba coś podmurować, a to ocieplić, pomalować, naprawić. Ilość zużytych przez nas narzędzi, materiałów budowlanych i farb zapewne wystarczyłaby na odnowienie niejednej zapuszczonej miejskiej kamienicy. Warto też dodać, że ekipa remontowa z Rozbratu pomagała i pomaga mieszkańcom Poznania, jak choćby wtedy, gdy na ul. Matejki właściciel zdemontował dach kamienicy, w której mieszkali ludzie – załoga pracowała dwa dni, aby zabezpieczyć mieszkańców budynku.

Tak więc jeśli chodzi o budowlankę – jesteśmy zaprawieni, bo nie samą polityką i kulturą człowiek żyje.

Dwudzieste pierwsze urodziny to czas na świętowanie, wspominanie, opowiadanie anegdot oraz snucie i knucie. Zawsze jest coś do zrobienia, zawsze wydarza się coś, na co należy zareagować, zawsze jest też czas na dowcipy i żarciki... tak jak wieczna „Zielona Noc" w roku zdaje się 1995, gdzie o poranku klamki wysmarowane były pastą do zębów. (MD)

www.rozbrat.org

Strony, które warto odwiedzić:

Federacja Anarchistyczna
www.federacja-anarchistyczna.pl

Inicjatywa Pracownicza
www.ozzip.pl

Anarchistyczny Czarny Krzyż - Polska
www.ack.most.org.pl

Strona z anarcholskimi materiałami do ściągnięcia
www.akcja.type.pl

Freedom Fighters – sportowa anarchia

Freedom Fighters to projekt prowadzony przez poznańskie środowisko anarchistyczne. Dotyczy sportów walki i trwa już ponad 2 lata. Z początku ograniczał się do organizowania raz na pół roku ligi sportów walki, podczas której zawodnicy i zawodniczki mogły się zmierzyć w najpopularniejszych stylach: K-1 rules, Boksie, Brazylijskim Jiu-Jitsu i MMA. Wraz ze wzrostem popularności inicjatywy, nie tylko na skalę krajową i nie tylko w środowisku wolnościowym, organizatorzy rozbudowali projekt – wzbogacając go o seminaria prowadzone przez utytułowanych zawodników z kraju i zagranicy. Do tej pory odbyło się jedno seminarium z braćmi Adrianem i Sebastianem Wytwerami (Muay Thai) i dwa (w tym jedno dwudniowe) z legendą angielskiej sceny MMA Peterem Irvingiem.

Dalszy wzrost popularności skutkował uruchomieniem w 2014 roku cyklicznych (4 razy w tygodniu) treningów Muay Thai na profesjonalnie przygotowanej na Rozbracie sali, która obecnie wzbogaciła się o małą siłownię. Kolejnym krokiem naprzód była organizacja piątej edycji ligi na Rozbracie. Dzięki ekipie z Wrocławia walki mogły odbyć się na profesjonalnie przygotowanym ringu. Ta edycja przyciągnęła najwięcej uczestników i uczestniczek, a także największą publiczność. Dwie walki odbyły się również na zasadach półprofesjonalnych, a poziom sportowy całości należał do wysokich.

Dzięki sprawnej ekipie filmowej można w sieci obejrzeć wideorelacje ze wszystkich edycji i seminariów. Freedom Fighters przykuło uwagę środowiska wolnościowego, co skutkowało kilkoma wywiadami publikowanymi w „Innym Świecie", „Pod brukiem leży plaża" czy „Chaosie w mojej głowie". Warto dodać, że FF popularne jest również w poznańskich kręgach sportów walki, co pokazuje jasno, że jest inicjatywą otwartą – nie nastawioną jedynie na środowisko wolnościowe. Dwa lata wystarczyły, żeby podobne turnieje zaczęły być organizowane w innych miastach: „Trenujemy nawet w deszcz" w Toruniu i „Bez Przegranych" we Wrocławiu. Dzięki działalności w obszarze sportów walki zostały nawiązane również kontakty z tożsamymi inicjatywami i aktywistami w Czechach, Niemczech czy Anglii.

Zapraszamy na kolejną edycję ligi, która odbędzie się na przełomie listopada i grudnia; naturalnie w Poznaniu. Dokładna data podana zostanie wkrótce, nastawiajcie



www.rozbrat.org

freedomfighters@riseup.net

List do więźnia

Jednym z głównych powodów, dla których ludzie odkładają swoje zaangażowanie dla wspierania więźniów, jest lęk przed napisaniem pierwszego listu do więźnia. Bardzo trudno jest napisać list do kogoś, kogo się nie zna: ludzie nie wiedzą co napisać, czują, że są rzeczy, o których pisać nie powinni albo też myślą, że więźniowie nie będą zainteresowani tym, co oni mają do przekazania. Takie były problemy, które większości z nas udało się przezwyciężyć - poniżej więc chcemy przekazać parę rad, dla tych którzy chcą robić to po raz pierwszy. Nie są to jakieś sztywne reguły i nie mieliśmy możliwości rozwiązania wszystkich problemów związanych z pisaniem listów. Każdy pisze po swojemu... Mamy jednak nadzieję, że będzie jakiś pożytek z tej ulotki.

Po pierwsze

Niektóre więzienia ograniczają liczbę listów, które więźniowie mogą pisać i otrzymywać; zwykle też więźniowie muszą kupować znaczki i koperty (do zamożnych się zaś nie zaliczają). Tak więc nie spodziewaj się odpowiedzi na list czy kartkę pocztową. Niektóre więzienia zezwalają na przysyłanie znaczków i kopert, jednak po prostu najlepiej to sprawdzić. Listy do więźniów są zatrzymywane, czytane, opóźniane czy nawet cenzurowane. Inną sprawą jest adres nadawcy - zapisz go z tyłu na kopercie - nie tylko po to by więzień mógł ci odpisać, ale dlatego, że w niektórych więzieniach „anonimowe" listy nie są doręczane; ważne jest też, by nie pisać adresu ze skrytką pocztową.

Pisząc po raz pierwszy

Na wstępie dobry zwyczaj nakazuje przedstawienie się, jeśli uczestniczysz w jakichś działaniach, napisz gdzie działasz. Możesz napisać gdzie usłyszałeś o sprawie danego więźnia. Pierwszy list nie powinien być za długi - jeśli list będzie za długi, personel więzienia może go zatrzymać (bo nie będzie im się chciało go czytać). Z drugiej strony, pisząc po raz pierwszy nie znasz człowieka, do którego piszesz, z czasem jeśli lepiej się poznacie, korespondencja między wami może być bardziej osobista. Jeśli piszesz do „wrobionego" więźnia i wierzysz, że jest niewinny - napisz to; pomaga mu to uwierzyć w siebie. Niektórzy ludzie, kiedy piszą do więźniów, obawiają się pisać o swoim życiu, myśląc, że może to zdołować ludzi odsiadujących wyroki czy też, że po prostu ich to nie obchodzi. W niektórych przypadkach może być to prawdą, ale dla zdecydowanej większości więźniów jest to ucieczka od otaczającej ich ponurej rzeczywistości zakładu karnego. Życie w więzieniu jest śmiertelnie nudne i jakiekolwiek wiadomości od ludzi, których znają (albo i nie) pomagają ożywić tą atmosferę. Jeśli nie znali cię wcześniej, zanim się tam znaleźli - z pewnością będą chcieli cię poznać, usłyszeć jak żyjesz. Pisząc użyj swojej wyobraźni i nie pisz przypadkiem o czymś, co by mogło pogorszyć sytuację więźnia czy też spowodować czyjekolwiek kłopoty z policją. Pisząc za granicę, sprawdź jakie języki zna więzień - 99% obcokrajowców nie poradzi sobie z polskim....

Oni są tam za nas, my jesteśmy tu dla nich

Dla ludzi uwięzionych za działalność polityczną, społeczną, swoje przekonania, ludzi z naszego środowiska, ważne jest podtrzymywanie ich zaangażowania w sprawy, w imię których znaleźli się w więzieniu - opisujcie swoje działania, wysyłajcie im ziny i gazety (jeśli tego chcą), dyskutujcie o ideach... Jeśli bierzesz udział w kampanii poparcia dla jakiegoś więźnia, najlepiej być realistą, jeśli chodzi o możliwość osiągnięcia celu. Dla ludzi odsiadujących długie wyroki najważniejsze jest podtrzymywanie nadziei na wyjście, nie zaś pisanie o „szybkim końcu odsiadki". Pomyśl, jeśli więzień uwierzy ci, że to możliwe - co się stanie gdy się dowie, że to mrzonki...

Przez mury

Większość więźniów nie jest jakby to chciały widzieć massmedia „wściekłymi bestiami", tylko zwykłymi ludźmi, tak jak ty. Więzienie jest po to by izolować ludzi, tak więc musimy aktywnie podtrzymywać łączność z nimi, łącząc ich z normalnym światem. Jest to jedna z istotnych dróg komunikacji z nimi, pozwalająca doczekać im końca kary w zdrowiu psychicznym.

Napisz do więźnia!

Adresy niektórych więźniów:

Tomasz Ślusarczyk s. Jana
Zakład Karny
ul. Kleczkowska 35
50 - 211 Wrocław

CZECHY / „operacja Fenix":

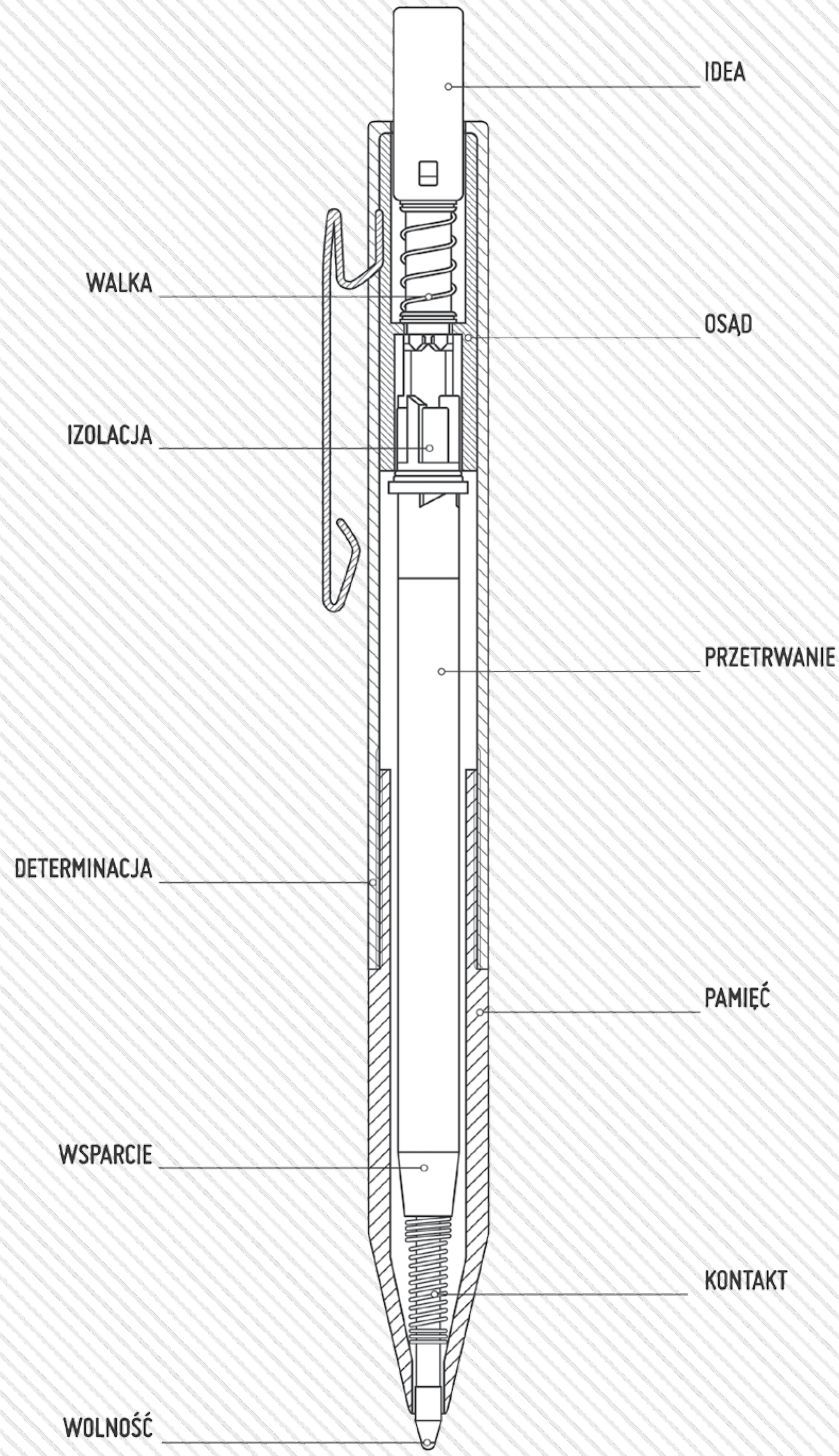
***

Aleš Kočí 13.8.1978
Vazební věznice a ústav pro výkonu zabezpečovací detence
Brno
P.O.BOX 99
625 99 Brno-Bohunice

***

Najlepiej pisać maile (można też po polsku) na adres:
antifenix@riseup.net

Zostaną one przetłumaczone i przekazane więźniom przez czeski Anarchistyczny Czarny Krzyż



NAPISZ DO WIĘŹNIA

SOLIDARNOŚĆ NASZĄ BRONIĄ!

ANARCHISTYCZNY CZARNY KRZYŻ / WWW.ACK.MOST.ORG.PL

manuFAktura//15 www.eMFA.pl